Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 25. XI. 1951 r.

Nr. 47 (329)

W NUMERZE:

Od Redakcji

Zjawisko społeczne analfabetyzmu, ciemnota zalegająca całe połacie ludów — to przywilej kapitalizmu, to zjawisko jego hodowli. Likwidację tego stanu przynosi rewolucja. Po Rewolucji Październikowej w Rosji Lenin podpisał dekret o likwidacji anafabetyzmu w końcu roku 1919 — podkreślając nie tylko kulturalne, ale polityczne znaczenie tej sprawy. Bez abecadła „nie może być polityki, bez tego są tylko pogłoski, plotki, bajki, przesądy, ale nie polityka..."

U nas również rewolucja przyniosła ustawową likwidację analfabetyzmu — kończąc z filantropijnym dobrodziejstwem oświaty z epoki kapitalizmu. Ustawa sejmowa z kwietnia 1949 roku określiła termin likwidacji analfabetyzmu w Polsce na koniec roku 1951. Wielka ta akcja dobiega dziś końca.

Przesłanki społeczne analfabetyzmu, metody etapu walki z analfabetyzmem odsłania w pewnej mierze przedstawiony przez redakcję wybór życiorysów i wypowiedzi byłych analfabetów — absolwentów kursów początkowego nauczania i wypowiedzi działaczy, nauczycieli społecznych i zawodowych. Szperanie w tym na pozór uciążliwym, monotonnym materiale dostarcza wiadomości o wielu typowych losach starego pokolenia — ze schyłku XIX wieku i młodego pokolenia niepodległości i Polski sanacyjnej. Przed oczami przesuwają się sylwetki tak wyraziste, tak jednym słowem lub nawet błędem rozjaśnione, domagające się uwagi i pamięci. Pismo jakby dziecinne lub koślawe, sztywne, znać że prowadziła je drżąca ręka starca lub staruszki, podziękowania Polsce Ludowej, która „wyprowadziła ich na światło", „przywróciła wzrok", sprawiła, że człowiek przestał być, jak pisze dzisiejszy sołtys — były analfabeta, „cegłą zamurowaną w murze" — te rzeczy wzruszają, te rzeczy zdolne są dać natchnienie poecie wielkich przemian, poecie rewolucji.

Powody zakorzeniania się i narastania analfabetyzmu w Polsce dawniejszej i sanacyjnej — w Polsce kapitalizmu odsłaniają życiorysy w swoim przekroju wyraźnie. Są to między innymi:

1) *brak przymusu szkolnego*
2) *konieczność pracy dziecka*
3) *rzadka sieć szkolna, odległość od szkoły*
4) *bezrobocie, śmierć ojca, „nie było ubrania"*
5) *wojna.*

W fakcie społecznym analfabetyzmu załamuje się cały koszmarny obraz losu człowieka pracy w systemie kolonialnego kapitalizmu. W przekroju społecznym największa liczba analfabetów — to wieś, zarówno starsza jak młodsza. Środowisko robotnicze jest również bardzo typowe, ale stosunkowo analfabetyzm jest tu zjawiskiem rzadszym, dotyka za to bardzo licznie takich peryferyjnych zawodów, jak zawód pomocnicy domowej.

W ogóle problem poniżenia i ucisku kobiety w ustroju kapitalistycznym wydobywa się na jaw bardzo wyraźnie w związku ze sprawą analfabetyzmu. „Rodzice uważali, że kobiecie nauka nie jest potrzebna" piszą absolwentki kursów. Trudności do przezwyciężenia, opory psychiczne — wstydu i społeczne — opinii były ogromne. Działał wróg klasowy ośmieszający, wydrwiwający tych „abeców" i „habetów", którzy przed tym pokornie przed nim zgięci i wyzyskiwani — dziś osiągnęli dzięki nauce konkretny awans społeczny, uświadomienie, wyższy stopień życia i kultury.

Likwidacja analfabetyzmu nie kończy się wraz z faktem nauczenia alfabetu tysięcy dawnych niepiśmiennych, tysięcy kobiet, które znały drukowane, tylko na książce do nabożeństwa, młodzieży, która często ulega wtórnemu analfabetyzmowi po niepełnej szkole w Polsce sanacyjnej. Akcja ta przedłuża się w utrwaleniu kulturalnej zdobyczy pisma, w zapobieganiu wtórnemu analfabetyzmowi poprzez wdrożenie do czytania, prenumerowania pism, korzystania z biblioteki, poprzez organizację „zespołów dobrego czytania", poprzez umożliwienie byłym analfabetom prawdziwego awansu społecznego. Wielu z nich uczy się dalej, nauka wciąga, początkowe wykształcenie rodzi głód większej wiedzy. Tych wchłania szkolnictwo dla dorosłych. Wielu osiągnęło dzięki nauce kierownicze stanowiska w swoich zawodach i w organizacjach społecznych, prace, do których wykonywania byli dawniej niezdolni.

Dzięki likwidacji analfabetyzmu wzrosła niepomiernie nasza baza czytelnicza, czytelnictwo książek i gazet. Wzrosła nasza baza percepcji tworzonej wiedzy i kultury, wzrosła baza ludowa tworzenia naszej narodowej kultury.

„Człowiek analfabeta znajduje się poza polityką, przede wszystkim należy nauczyć go abecadła. Bez tego nie może być polityki, bez tego są tylko pogłoski, plotki, bajki, przesądy, ale nie polityka".

LENIN

„Polska Ludowa jest dla nas Rzeczpospolitą ludzi pracy, którzy gorąco kochają swoją Ojczyznę i gotowi są poświęcić jej wszystkie swe siły i talenty twórcze. A siły i talenty twórcze mas ludowych mogą rozwinąć się w pełni tylko w warunkach wysokiego poziomu wiedzy i kultury".

BIERUT

ŻYCIE „NAUCZYCIELA SPOŁECZNEGO"

Moją miejscowością jest wieś Suchowola licząca ponad 600 mieszkańców, położona w gminie Rząśnia w powiecie Radomszczańskim.

W chwili ukazania się rozporządzenia rządowego w sprawie walki z analfabetyzmem, stan oświaty i analfabetyzmu w Suchowoli przedstawiał się następująco: Z ludzi starszych ponad 50 lat, 2/3 umiało i umie słabo czytać i z wielkim trudem podpisać się. Reszta, za wyjątkiem paru kobiet, które umieją tylko przeczytać modlitwy w książkach do nabożeństwa, nic nie umiało. Z ludzi od 30 do 50 lat — było 15 analfabetów. Obecnie wszyscy już nauczyli się czytać i pisać.



Najgłówniejszą przyczyną takiego stanu oświaty było to, że dawniej nie było szkoły w Suchowoli, była jedna tylko szkoła w gminie we wsi Rząśnia, oddalona o cztery kilometry od Suchowoli. Ale oprócz tego to było w tym także i trochę niedbalstwa, bo kto chciał nauczyć się czegoś, to nie żałował nóg, trafił do Rząśni i dzisiaj chociaż słabo, ale co mu potrzeba, to potrafi przeczytać i napisać.

Co do mnie, to nie jestem ani zawodowym nauczycielem, ani też z powodu podeszłego wieku nie zajmuję żadnego kierowniczego stanowiska w społeczeństwie, niezależnie jednak od tego, nauczaniem analfabetów i półanalfabetów zajmowałem się już od dłuższego czasu, bo od roku 1943 i zajmuję się do dziś dnia. Dla wyjaśnienia, co mnie do tego skłoniło uważam za stosowne najpierw przedstawić w skrócie swój życiorys i następnie opowiedzieć o przebiegu i osiągnięciach w walce z analfabetyzmem.

Urodziłem się 1 lutego 1873 roku we wsi Dryganek, gm. Kiełczygów, w pow. Wieluńskim. Ojciec mój był 15-morgowym rolnikiem. W całej gminie była wtedy jedna tylko szkoła w Kiełczygłowie, oddalona o 5 kilometrów od naszego domu, do której mało kto z naszej wsi chodził, bo uczono tylko zimą, a zimy były w tych czasach bardzo surowe. Bardzo ciężko było brnąć po głębokim śniegu pięć kilometrów w jedną i drugą stronę, ale ja miałem wyjątkowe zamiłowanie do nauki i trochę talentu, więc nie zważałem na żadne trudności i dopóki nie skończyłem czwartego oddziału chodziłem do tej szkoły bez przerwy.

Na dalsze kształcenie ani warunki ani środki materialne nie pozwalały, więc w dalszym ciągu, jak mogłem i gdzie mogłem zdobywałem różne książki naukowe i w domu uczyłem się sam Doszedłem w końcu do tego, że mogłem już pracować w biurach. Najpierw byłem pomocnikiem pisarza gminnego w Siemkowicach, następnie w czasie służby wojskowej w Taszkencie byłem pisarzem w kompanii, a po powrocie z wojska do kraju, przez 4 lata pracowałem w biurze komory celnej w Pyzdrach Słupeckiego powiatu. Po małej przerwie pracowałem w powiatowym biurze w Wieluniu, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

W czasie toczącej się wojny sprowadziłem się do Suchowoli, gdzie miałem 15 morgów ziemi otrzymane w posagu za żoną i zająłem się rolnictwem. Przez cały czas od pierwszej do drugiej wojny światowej byłem członkiem Rady Gminnej i Zarządu Gminnego i trzy lata przed wybuchem drugiej wojny prezesem Dozoru Szkolnego. W czasie okupacji hitlerowskiej Niemcy wywozili na przymusowe roboty tylko takich ludzi, którzy nie przekroczyli jeszcze 60 roku życia. Mnie uważali widocznie za niebezpiecznego dla siebie, bo chociaż wtedy skończyłem już nie 60, ale 70 lat życia, wywieziono mnie także wraz z żoną do Francji, do dużej fermy zorganizowanej przez Niemców we wsi Arrancy Departamentu Meuse, 40 kilometrów od Verdun. W tej fermie było nas 45 rodzin polskich. Byli tam ludzie spędzeni z różnych stron, różnych miejscowości naszego kraju. Praca, jaką trzeba było wykonywać, była ciężka, zawsze prawie ponad moje siły. Nie mogłem się zrównać z ludźmi w sile wieku, z ludźmi młodymi. Czułem, że w takim położeniu długo w żaden sposób nie wytrzymam. Tymczasem w bardzo krótkim stosunkowo czasie zjawiła się pomoc, taka, jakiej nigdy nie oczekiwałem i nie spodziewałem się. Złożyło się tak, że w liczbie 45 dorosłych polskich ludzi blisko połowa była całkowitych analfabetów. Otóż ci ludzie w liczbie 17 zgłosili się do mnie z taką propozycją, że jeżeli ja w czasie wolnym od pracy nauczę ich czytać i pisać, to oni za to każdego dnia będą mi pomagali w robocie i wcale nie potrzebuję się męczyć.

Zaczęliśmy więc od razu naukę, która bez przerwy trwała od pierwszych dni maja 1943 roku do pierwszych dni sierpnia 1945 roku. Za wyjątkiem jednego tylko człowieka, który był bardzo tępy i w żaden sposób nie mogłem z nim dać rady, szesnastu, którzy przed tym nawet liter nie znali, nauczyło się dosyć gładko czytać i pisać i sami bez niczyjej pomocy pisali listy do Polski. Ale ile przy tym było uciechy i różnych żartów.

Po wypędzeniu Niemców z Francji w sierpniu 1944 r. radości było bez miary, ale my Polacy zostaliśmy bez żadnych środków do życia. Ludzie młodzi i silni mogli znaleźć pracę i zarobek u miejscowych Francuzów, ale ja zostałem już po raz drugi w najgorszym położeniu.

Napisałem więc list do polskiego Czerwonego Krzyża w Verdun z prośbą o zapomogę. W krótkim czasie otrzymałem trochę pieniędzy, a mój list, jak dowiedziałem się później, był przesłany do Inspktoratu Szkolnego w Strasburgu. W kilka dni potem przyjechał do mnie inspektor szkolny i zaproponował mi, ażebym się podjął uczyć polskie dzieci w wieku szkolnym, inspektorat będzie mi wypłacał miesięcznie po 4.000 franków pensji.

Uczyłem więc dzieci, których było 26 aż do wyjazdu do Polski, który nastąpił dopiero w listopadzie 1945 roku. Wszyscy deportowani z Departamentu Meuse przyjechaliśmy jednym pociągiem do Bielska. Z Bielska rozjechaliśmy się po kraju w różne strony. Nie zapomnę nigdy serdecznego pożegnania w Bielsku z byłymi analfabetami, których na pewno nigdy już w życiu nie zobaczę. Po powrocie do domu gospodarstwo jakie posiadałem, oddałem synowi, a sam z żoną umieściłem się w oddzielnym mieszkaniu. Wkrótce potem umarła mi żona, zostałem więc sam jeden.

Jak wiadomo, w czasie wojny wszystkie szkoły stanęły na martwym punkcie. Ale po wojnie cała dorastająca i dorosła młodzież w Suchowoli zrozumiała potrzebę nauki i zaczęła masowo garnąć się do książek. Do mnie przychodziło kilku dorosłych chłopców, którzy przed wojną chodzili do szkoły, nauczyli się już trochę czytać i pisać, ale bardzo słabo, a najgorsza sprawa była z rachunkami, bo żaden prawie z nich nie znał wszystkich czterech działań rachunkowych, a o ułamkach nie było mowy. Takie wykształcenie nie było wystarczającym dla objęcia jakiegoś stanowiska w społeczeństwie. Więc ja na ile mi pozwalała moja praktyka i doświadczenie uczyłem ich i pomagałem w zdobyciu potrzebnych wiadomości. Skutek naszej nauki był taki, że obecnie paru z tych chłopów już jest na stanowiskach, a mianowicie: Roch Szlenk jest kierownikiem Ośrodka maszynowego przy gm. spółdzielni w Rząśni, Józef Fit — magazynierem w tejże spółdzielni, Józef Więdlak pracuje w Urzędzie gminnym, a Antonina Pach od 1 października ub. roku sprzedaje towary tekstylne w spółdzielni w Rząśni. Prawdziwych analfabetów, którzy przed tym nic nie umieli, nie uczyłem w Suchowoli. Uczył ich w godzinach wieczorowych miejscowy zawodowy nauczyciel w szkole.

W ostatnim czasie przychodziło znów do mnie paru dorastających chłopców, którzy po polsku umieją już nieźle czytać i pisać, ale mają wielką chęć nauczyć się języka rosyjskiego. Obiecałem im, że po ukończeniu robót w polu weźmiemy się do nauki. Język rosyjski znany mi jest tak samo jak i polski, bo bardzo długi czas miałem go w użyciu.

Młodzież przychodzi do mnie chętnie, bo oprócz tego, że się czegoś nauczy, to ma i inne rozrywki. Ja im zawsze wymyślę jakąś nieznaną piosenkę, czasem zagram na skrzypcach. Uczę bezinteresownie bez żadnego wynagrodzenia. Utrzymanie daje mi syn.

Dłubak Ignacy

Z życiorysów byłych analfabetów

ZAZDROŚCIŁAM DZIECIOM IDĄCYM DO SZKOŁY

Urodziłam się dnia 14 lutego 1895 r. w Żernikach, pow. Tomaszów woj. lubelskie.

Ojciec Jan i matka Maria z domu Kryszczuk. Ojciec mój był szewcem. Początkowo mieszkał w mieście Tyszowce, lecz brak pracy i ciężkie warunki materialne zmusiły rodziców do wyjazdu na wieś. Było nas 7-ro rodzeństwa. Niestety i tu ojciec pracy nie znalazł. Dzieci musiały pójść do pracy. Praca była ciężka. Pracowaliśmy u obszarnika „jaśnie pana" od rana do ciemnej nocy razem z dorosłymi. Płacili nam bardzo mało. Miałam wtedy 14 lat, nie uczyłam się wcale. Zazdrościłam dzieciom idącym z książkami do szkoły. Nie nauczyłam się czytać i pisać i dlatego było mi w życiu bardzo ciężko. Czegoś mi zawsze brakowało. Dopiero Polska Ludowa — Rząd Demokratyczny dał mi możliwość w moich starszych latach zdobyć naukę początkowego czytania i pisania. Czuję się teraz jak gdybym odzyskała wzrok.

W r. 1916 wyszłam za mąż, lecz los mój nie zmienił się. W dalszym ciągu musiałam pracować u obszarników. W r. 1918 umarł mąż. Zostałam z córką, która miała 1 rok. Zostałam we wsi Łaszczów i znów musiałam iść do „jaśnie pana" pracować. W r. 1924 wyjechałam wraz z najbliższą rodziną i córką do Bobrowa pow. Brodnica. Tu córka ukończyła szkołę podstawową, a następnie posłałam córkę do szkoły średniej w Brodnicy. Chciałam, aby córka nie męczyła się tak jak ja. Chcąc opłacić czynsz za naukę w szkole, pracować musiałam u okolicznych kułaków i obszarników często o głodzie i chłodzie. Jakże często dziecko moje szło do szkoły bez śniadania i bez chleba, który mogłaby zjeść w miejsce obiadu. Lecz wytrwale pracowałam na naukę swej córki. I zdawało mi się, że już cel osiągnęłam, że córka zda maturę. Tymczasem miesiąc przed maturą córka została usunięta ze szkoły, ponieważ nie miałam pieniędzy na zapłacenie czesnego. Zmuszona byłam od bogatego chłopa pożyczyć pieniędzy na odrobek. Opłatę uiściłam. Córka maturę zdała, ale życie nasze nie uległo jeszcze zmianie, gdyż w Polsce przedwojennej nie było pracy dla córki biednej robotnicy.

Podczas okupacji także córka nie miała pracy, a ja pracowałam dorywczo. Mieszkaliśmy wtedy w Brodnicy. Córka przeprowadziła się do Torunia, gdzie wyszła za mąż, a ja zostałam dalej w Brodnicy. W r. 1949 hitlerowcy wyrzucili mnie z mieszkania i chcieli wywieźć do obozu. Udało mi się uciec do Torunia do córki w marcu. W r. 1941 w sierpniu zostali aresztowani córka z zięciem i wywiezieni do obozu. Zostałam z wnuczką, która miała wtedy 1 rok i 10 miesięcy. Żyłam z dzieckiem na łasce losu. Dobrzy ludzie żywili nas. Na szczęście wróciła córka i zięć z obozu w r. 1942. Odżyliśmy po wkroczeniu Wojsk Radzieckich i wyzwoleniu Polski spod jarzma hitlerowskiego.

Obecnie Polska Ludowa dała możność poznania nauki ludziom dorosłym, którzy jej nie zaznali w latach dziecięcych. Gdy dowiedziałam się o kursach początkowego nauczania, mimo, że mam lat 56, zgłosiłam się i cieszyłam, jak dziecko, że mogę się uczyć. Chodziłam na kurs b. pilnie i dobrze go ukończyłam. Jako nagrodę otrzymałam po ukończeniu kursu książkę „Pan Tadeusz" — dużą, z barwnymi obrazkami. Jest ona moją radością i wielką dla mnie pamiątką.

Po ukończeniu kursu zostałam także zabrana na wycieczkę do Warszawy. Zdumionymi oczyma patrzyłam na odbudowę naszej stolicy, dumy całego narodu. Dzięki Polsce Ludowej spotkało mnie dużo niespodziewanych w moim wieku przyjemności. Dzięki Polsce Ludowej umiem czytać i pisać.

Borys Anna



JUŻ WIEM, CO SIĘ DZIEJE NA ŚWIECIE...

Ojciec mój był formiarzem w fabryce fajansu, matka wychowywała dzieci. Było nas 6-ro. Miałem 4 lata, kiedy zachorował ojciec. Ojciec zachorował z cugów w fabryce. Dostał sklerozy mózgu. Leżał w domu 19 lat, gdyż kiedyś dla takich nie było miejsca w szpitalu. Wtedy matka pracowała na nasze utrzymanie, a 12-letnia siostra musiała pomagać matce. aby wyżywić jako tako nas i chorego ojca. Było nam bardzo ciężko. Ja mając 9 lat musiałem już iść na kolei zrzucać belki na celulozę, aby choć trochę pomoc. bo matka już opadała z sił a pomocy znikąd nie było. Pracując nie miałem możności uczyć się. Było mi bardzo przykro, gdy inni czytali książki Postanowiłem, że chociaż nauczę się podpisać. I nauczyłem się podpisu, tak jakbym nauczył się rysować. Kiedyś zdarzyło mi się na jednym zebraniu, że chcieli mnie wybrać na sekretarza. Ze wstydem i wielkim trudem udało mi się wymówić bólem głowy. We wrześniu r. 1939 wzięli mnie do wojska. Dostałem się do niemieckiej niewoli i wtedy więcej niż dotąd poznałem, co znaczy nie umieć pisać, nie mogłem porozumieć się z rodziną. Dziś, dzięki naszej Polsce Ludowej już nie zawstydzę się i gdybym był z dala od domu, już bym nie prosił, aby mi ktoś pisał lub czytał, bo dziś sam to umiem. Bo nasza Ojczyzna Ludowa dba, aby jej obywatele nie byli ciemni. I chciałbym, żeby wszyscy co nie umieją czytać i pisać zrozumieli, jaką korzyść daje nauka. Dziś dzięki nauce, gazety, które z fabryki przynoszę, nie leżą, ale przeczytam je dokładnie, jak również i książki i wiem, co się dzieje na świecie.

Marian

JANINA LEŚNIOWSKA

PAMIĘTNIK NAUCZYCIELKI



Rok 1948.

Szkoła podstaw. Nr 2 w Sieradzu. Widne, duże klasy szkolne, jasno pomalowane ściany, na pierwszym miejscu portrety przedstawicieli Państwa. Z okna rozległy widok na Wartę i przybrzeżne błonie, panorama zieleni i błękitu nieba.

Oto zewnętrzne warunki pracy dwóch kursów początkowego czytania i pisania, zorganizowanych samorzutnie, prowadzonych przez Wydział Oświaty. Kilkunastu kursistów w różnym wieku, pochylonych nad książką lub zeszytem kreśli drżącą niewprawną ręką pierwwsze, nieudolne litery, zbliżone swoim zewnętrznym wyglądem do prawdziwych liter z abecadła.

Przyszli na naukę dobrowolnie, chętnie się uczą. Nie ma jednak w tej początkowej pracy żadnego rozmachu, ani zrozumienia jej ważności. Jest to tylko praca lokalna, która dopiero w następnych latach stanie się zagadnieniem żywym, którym żyć będą aktywne jednostki i masowe organizacje. W roku 1948 uzyskano 12 absolwentów.

ROK 1949/50

Październik. Ta sama szkoła co w ubiegłym okresie, ale zupełnie inny widok. Świetlica szkolna, korytarze — wszędzie pełno ludzi w wieku do 70 lat. Powołanie zarejestrowanych analfabetów. Każdy z nich trzyma w ręku białą kartkę, na której jasno i dobitnie widnieją wyrazy: „Na mocy art. 1—3 i 21 ustawy z dnia 7.IV. 1950 r. o likwidacji analfabetyzmu wzywam obywatela . . . .

A więc coś zupełnie innego niż 1948 r. Zagadnienie likwidacji zostaje objęte ustawą. Z pracy kulturalno-oświatowej walka z analfabetyzmem staje się zagadnieniem ogólno-polskim, państwowym.

Wszyscy są przejęci ważnością chwili, żywo gestykulują, kilku z nich trzyma w ręku zaświadczenia lekarskie. Pomiędzy nimi widać wysoką postać inspektora Kurasa i nauczycieli, którzy będą uczyć na kursach. Kilkunastu zgłoszonych z powodu przekroczenia wieku, lub zaświadczenia lekarskiego zostają zwolnieni z obowiązku nauki. Jest ich ponad 80, organizujemy 5 kursów, na których uczą, za wyjątkiem mnie, wszyscy nauczyciele zawodowi. Mam tremę, pierwszy raz będę uczyła, nikogo o wskazówki nie pytałam, zdobyłam kilka podręczników, instrukcji, wszystko uprzednio przestudiowałam, przemyślałam. Uczę na I kursie języka polskiego z zagadnieniem i na II kursie rachunków. Z bijącym sercem wchodzę do klasy. Mam przygotowane przemówienie, wzorowo opracowaną lekcję.

Zaczynam do nich mówić, widzę wpatrzonych w siebie kilkanaście młodych i starych oczu. I zaczynam mówić zupełnie coś innego, coś co się wyrywa spod samego serca, tłumaczę, proszę, perswaduję.

Pierwsze kroki są zrobione, lody przełamane. Kurs I liczy 17 słuchaczy, wszyscy młodzi, chętni do nauki, z zapałem biorą się do pracy. Pierwsze kilka dni zapoznajemy się wspólnie.

Poznaję ich prace, środowiska, pytam się o wszystko, chętnie i szczerze odpowiadają mi. To jest pierwszy rachunek dobrych wyników pracy — poznać swego ucznia, jego charakter usposobienie, poznać jego warunki życiowe, troski rodzinne, aby móc w przyszłości, być dobrym doradcą-powiernikiem, a tym samym nawiązać ścisły kontakt ucznia z nauczycielem. Moi słuchacze, z wyjątkiem paru, pracują w różnych zakładach pracy.

A teraz nakreślę kilka ciekawych sylwetek analfabetów. Janina Pawlak — młoda, przystojna kobieta, mówi po polsku dziwnie twardym akcentem. Jest systematyczna w pracy, pisze nadzwyczaj starannie, czysto, cicha, spokojna, pilna. W rozmowach z nią dowiaduję się, że jest urodzona w Niemczech, gdzie przebywała 20 lat. Teraz dopiero pierwszy raz uczy się po polsku. Przez cały czas nauki była nadzwyczaj pilną uczennicą, uczęszczała na naukę bardzo punktualnie, mimo trojga drobnych dzieci. Była chlubą mojego kursu, zawsze to podkreślałam i dawałam ją innym za przykład. Mąż jej funkcjonariusz straży więziennej przerabiał kurs gimnazjum, oboje pilnie się uczyli i między nimi była konkurencja w wynikach nauczania.

Ob. Janina Pawlak była bardzo ambitna, ale zawsze drażliwa, przeczulona, cały czas musiałam obchodzić się z nią delikatnie, gdyż prędko się obrażała i wtedy traciła chęć do nauki — zresztą jak wielu innych moich słuchaczy. Tyle razy muszę jedno i to samo powtarzać, nie wolno okazać mi złości, zniecierpliwienia — w tym bowiem wypadku na pewien czas tracę swego słuchacza i znów muszę przez pewien czas łagodnie z nim współpracować, aby naprawić chwilowo zerwany kontakt.

W parę dni po rozpoczęciu kursu ktoś puka nieśmiało. Do mojej klasy wchodzi drobna, starsza kobieta, biednie ubrana i wprowadza swego syna Antosia Grzelaka. Chłopiec ma ładną, miłą twarz, szafirowe, myślące oczy. Matka drżącym, nieśmiałym głosem opowiada mi jego historię — był zabrany do Niemiec razem z rodzicami, ciężko fizycznie pracował i nie mógł się uczyć. Gorąco poleca mi swego Antosia, całą nadzieję pokłada we mnie. Serdecznie ściskam ją za rękę, uspokajam i zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby Antoś dobrze się uczył i zrobił postępy w nauce. I tak było istotnie, zdał egzamin z wynikiem dobrym i wyjechał później z rodzicami na Zachód. Miałam z nim jednak dużo kłopotu, gdyż był bardzo ruchliwy, żywy, a czasami bardzo psotny.

Moi słuchacze I kursu nie sprawili mi dużo kłopotu, uczyli się pilnie, wytrwale i robili duże postępy w nauce, a nasz serdeczny, przyjacielski stosunek pogłębiał się stale i zacieśniał, gdyż oparty był na zrozumieniu istoty rzeczy. Chcieli się uczyć, gdyż czuli potrzebę nauki, a wyniki początkowej nauki zaczęli widzieć na swoje własne oczy. W końcu trwania kursu pisali krótkie listy lub życzenia i zabierali się do samodzielnego czytania gazet.

Uczniowie moi byli bardzo ambitni i ogromnie drażliwi na punkcie swego nieuctwa. Nigdy przy nich nie używałam wyrazu analfabeta, gdyż wyraz ten upokarzał ich i zniechęcał do nauki. Z zasady nie chcieli się nigdy fotografować, chodzić na uroczystości dla nich organizowane, nieuctwo swoje starali się jak najgłębiej ukryć.

O wiele lepszy, inteligentniejszy element miałam na kursie II. Było ich tylko 12 — wszyscy starsi, zajęci ciężką pracą fizyczną, przychodzili zwykle na naukę bardzo zmęczeni, brudni, wprost od swojej pracy. Były wypadki, że ze zmęczenia zasypiali, chodziłam wtedy cicho koło nich, aby nikt nie przerwał im kilkunastominutowego, dobroczynnego snu-wypoczynku, po którym z chęcią zabierali się do pracy.

To był najlepszy, najambitniejszy element z jakim zetknęłam się w ciągu trzyletniej mojej pracy na tym odcinku. Ograniczę się tylko do scharakteryzowania kilku ciekawych sylwetek.

Ob. Czesław Dawiduk drobna, niepozorna postać ryczałtowego woźnego Urzędu Skarbowego. Po paru dniach pracy zwrócił moją uwagę. Chciwym wzrokiem wpatrywał się w litery, cyfry, prosił mnie, abym mu stale tłumaczyła, każdą wolną chwilę spędzał z kredą przy tablicy lub ze „Startem" w ręku.

Gdy go chwaliłam, radosny uśmiech gościł na jego twarzy. Nie usłyszałam nigdy z jego ust żadnego narzekania, krytyki — przeciwnie zawsze był chętny do współpracy i pomagał mi, gdy chodziło o zapewnienie frekwencji lub w zorganizowaniu jakiejś uroczystości. Z okazji Święta Odrodzenia rzuca projekt napisania dwóch listów do Ob. Prezydenta i min. Matuszewskiego. Pisze sam drżącą, niewprawną ręką przejęty ważnością chwili, że on szary człowiek jeden z tej wielkiej milionowej gromady ludzi pracy może pisać do głowy Państwa.

Ob. Czesław Dawiduk zdał egzamin z wynikiem b. dobrym, skończył zespół dobrego czytania, klasę wstępną dla dorosłych, obecnie uczęszcza do 5-tej klasy szkoły dla pracujących uczy się nadal b. pilnie z dobrymi wynikami. Pozostał na zawsze moim oddanym przyjacielem. Gdy się z nim spotykam, serdecznie wita się ze mną i jest ogromnie wdzięczny za to, że wyrwaliśmy go z ciemnoty i wskazaliśmy mu drogę do nauki.

Ob. Chrapek Władysława, pomocnica domowa dr. powiatowego. Dziwnie delikatny, wrażliwy typ, chłonęła naukę z całym zrozumieniem i oddaniem — cicha, spokojna, nieśmiała.

Po paru tygodniach wybiła się na czoło kursu jako przodownica nauki.

Kurs kończy z wynikiem bardzo dobrym. Powoli, systematycznie zaczynam moich słuchaczy wdrażać do czytania gazet, początkowo nagłówki, ogłoszenia, to wszystko co drukowane jest dużymi literami.

Końcowe egzaminy. Moi słuchacze przejęci są ważnością chwili, na ich twarzach maluje się zdenerwowanie, lęk. Boją się obcych, nowych twarzy — mimo tego wyniki egzaminów są dobre i w okresie tym uzyskaliśmy 33 absolwentów. Rozdajemy świadectwa, krótkie serdeczne przemówienia i rozstajemy się. Wszyscy jesteśmy zadowoleni, oni, że uczęszczając na kursy dobrze spełnili swój obywatelski obowiązek — a my, nauczyciele, że wyrywając ich z ciemnoty i zacofania, przysporzyliśmy Polsce Ludowej 33 pełnowartościowych obywateli.

Kampania wiosenna — letnia. Dwa kursy zapisanych 30 analfabetów uzyskano 16 absolwentów. Prowadzę kurs II. Praca o wiele trudniejsza, gdyż element kursów jest o wiele słabszy, kilku z nich powtarza kurs.



Oto kilku z nich:

33-letni pracownik P.M.S. wybitnie niezdolny, wskutek nadmiaru użycia alkoholu, całkowity zanik pamięci. Po paru tygodniach pracy nie uczynił żadnych postępów. Nie zrażam się tym jednak, otaczam go specjalną opieką przynoszę mu kolorowy elementarz, wycinane litery, za wszelką cenę chcę go nauczyć czytać i pisać. Wysiłek umysłowy jest dla niego zbyt wielki, w ciągu pracy krople potu zraszają często jego czoło — patrzy na mnie z wyrzutem. Chwilami czuję, że mogę stracić cierpliwość, wiem, że mi tego uczynić nie wolno, gdyż zrażę go do siebie zupełnie, a tym samym i do nauki.

Muszę się uspokoić — podchodzę do okna, otwieram je na rozścież. I znów zaczyna się nauka. Takich uczniów miałam paru na swoim kursie, trzy pracownice ze szpitala — tępe, niezdolne, szalenie nerwowe. Stosowałam względem nich różne metody nauki. Wiele trudu i pracy pochłonęła ich nauka. Dwukrotnie powtarzali kurs i wreszcie zdali z wynikiem dostatecznym i na tych wiadomościach zaprzestali swą naukę.

ROK 1950/1951.

Dopiero w tym roku zrozumiałam w całym tego słowa znaczeniu skrót W.A. — Walka. Ten okres był prawdziwą walką, prawdziwym bojem z zacofaniem, kołtunerią ludzką, trzeba było łamać największe opory, łamać człowieka, wykuwać nowego człowieka o innym, socjalistycznym światopoglądzie — a to jest chyba rzecz najtrudniejsza. Tkwił on w swoich starych zacofanych pojęciach i z tym było mu częstokroć dobrze.

Element, który pozostał nam jeszcze do przeszkolenia był elementem wybitnie opornym, nieuświadomionym, a czasami wręcz wrogim, o złym nastawieniu do obecnej rzeczywistości. W tym okresie musieliśmy cały swój spryt, inteligencję i cierpliwość podnieść do maximum, aby za wszelką cenę tych właśnie ludzi wyrwać z upośledzenia, ciemnoty i stworzyć z nich pełnowartościowych obywateli. Element, który nam pozostał do nauki składał się z chorych z urojenia, markierantów, oportunistów, którzy sprytnie w ciągu dwóch lat wykręcali się od nauki i nadal postanowili trwać w tym zamiarze. W tym okresie akcja likwidacji stała się pracą bardzo trudną, niewdzięczną, częstokroć musieliśmy uczyć tych, którzy formalnie zatykali sobie uszy na nasze słowa, prośby, perswazje. W tym stanie rzeczy w jakim się znajdowali, było im bardzo dobrze i czasami byli wprost na nas wściekli, że staraliśmy się wyrwać ich z tego stanu. Woleli najcięższe roboty, nawet jak często sami mówili, choroby — niż naukę. I w takich ciężkich, niesprzyjających warunkach uczyliśmy, a efekt naszej pracy był dwukrotnie większy niż w ubiegłych latach, gdyż w tym okresie uzyskaliśmy największą liczbę absolwentów. Ten ich systematyczny upór z jednej strony zachęcił nas do intensywnej pracy, a z drugiej strony zobrazował nam jakim wielkim kalectwem duchowym był analfabetyzm w naszym społeczeństwie i jak konieczną była jego likwidacja.

Do przeszkolenia pozostało nam jeszcze ponad 120 analfabetów, w tym kilku wybitnie opornych. Utworzyłam 5 kursów, 38 osób zostało objętych nauczaniem indywidualnym. Początkowo w tej walce, w tym zmaganiu ze „starym człowiekiem" byliśmy sami — 120 częstokroć niechętnych ludzi do nauki i 5 nauczycieli z paroma działaczami społecznymi.

Największe nasilenie walka z analfabetyzmem przybrała w miesiącach styczniu, lutym i marcu. Za wszelką cenę musimy do dnia 1 maja na terenie m. Sieradza zlikwidować analfabetyzm. „Dwoję się i troję", aby obowiązki instruktora pedagogicznego spełnić jak najlepiej, niektóre jednak sytuacje, głównie jeżeli chodzi o przełamywanie opornych, zniechęcają mnie bardzo do pracy i wyczerpują psychicznie.

Nakreślę kilka ciekawych sylwetek opornych, oraz wskażę środki jakimi próbowałam przełamywać ich opory. Czasami to się udaje i o tych konkretnych wypadkach prze-

(dokończenie na str. 7)

JA TEŻ NIE CHCĘ WOJNY...

Bydgoszcz, 7 lutego 1951 r.

Oddałam skierowanie na kurs nauczycielce. Kazała mi usiąść w ławce.

Najpierw czytaliśmy wszyscy głośno. Potem przepisywaliśmy wyrazy z czytanki. Początkowo było mi trudno pisać. Nauczycielka zawołała mnie do tablicy i na tablicy ćwiczyłam pisanie liter. Po ćwiczeniu na tablicy, w zeszycie pisałam już lepiej. Widziałam, że inni piszą szybciej ode mnie i postanowiłam dużo pisać w domu.

Potem nauczycielka opowiadała nam o odbudowie Warszawy.

Po opowiadaniu zaczęliśmy rachunki. Nauczycielka wysypała z portmonetki grosze na ławkę. Doliczaliśmy i odejmowaliśmy do złotego.

Byłam ucieszona i zadowolona z pierwszej lekcji.

Sroda 28 lutego 1951 r.

Dzisiaj było nas w szkole szesnastu. Najpierw były rachunki. Obliczałam swoje dzienne wydatki z podpisywaniem liczb, tak jak to robią ekspedientki. Przy mnie siedziała Halina. Ja wyliczyłam swoje zadanie, a ona nie.

Potem czytaliśmy jak dawno temu żarna mełły zboże. Opowiadaliśmy sobie o tym, jak wtedy ludzie ciężko pracowali na wsi, a teraz mają maszyny rolnicze, więc jest im lżej. Kiedyś mój tatuś też pożyczał konia do orki. Dzisiaj mój brat jest traktorzystą i orze tatusiowe pole traktorem. Następnie układaliśmy wyrazy i zdania z liter ruchomego alfabetu. Kolega Witold z takim zapałem zabrał się do tej roboty, że zapomniał o papierosie schowanym pod ławką, który sam się wypalił. Myśmy się śmieli. Nauczycielka złościła się, bo palić wolno tylko na przerwie.

Czwartek, 22 marca 1951 r.

Jest nas już 22. Chodzą wszyscy, bo podpisujemy listę obecności. Dzisiaj czytaliśmy czytankę o sztandarach robotniczych. Potem nauczycielka nam opowiadała, jak robotnicy walczyli o swoje prawa, jak strajkowali we Francji, bo nie chcieli wyładowywać broni z okrętów. Podoba mi się to. Ja też nie chcę wojny. Cieszę się, że zaczęłam się uczyć i chcę uczyć się w spokoju dalej.

Zaczęliśmy pisać dyktando i nagle zgasło nam światło. Czekaliśmy aż będzie światło i każdy z nas opowiadał dlaczego nie mógł chodzić do szkoły. Dowiedziałam się, jak smutnie przeżywaliśmy nasze młode lata. Światła w dalszym ciągu nie było, więc uczyliśmy się śpiewać Międzynarodówkę.

Środa 25 kwietnia 1951 r.

Przyszliśmy na lekcję, nie wiedząc że będzie egzamin właśnie dzisiaj. O tym, że będziemy egzaminowani wiedzieliśmy już trzy tygodnie przed tym.

Byłam podniecona i myślałam, że ze strachu nie jedno mogę zapomnieć, ale kiedy byłam pytana, odpowiadałam dobrze i śmiało. Napisałam list i rozwiązałam dwa zadania rachunkowe.

Podczas egzaminu przyszedł fotograf i robił zdjęcia całego kursu do pamiątkowej gazetki ściennej.

Starałam się bardzo zdać ten egzamin, abym mogła potem uczęszczać do szkoły wieczorowej dla pracujących.

2 maja 1951 r.

W dniu 30 kwietnia było w szkole rozdanie świadectw. Egzamin zdałam z wynikiem bardzo dobrym.

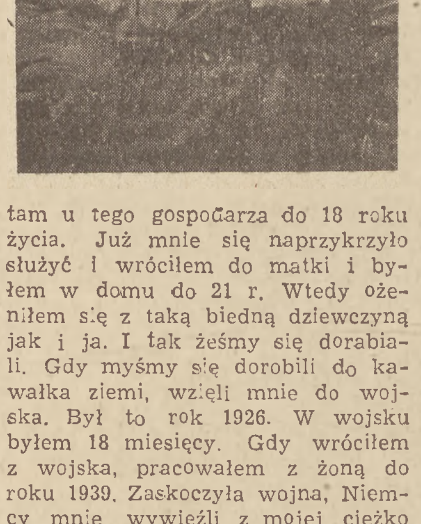
Ucieszyłam się bardzo, bo jestem córką robotnika, która jako dziecko musiała już zarabiać na życie i dopiero teraz w Polsce Ludowej będę mogła dalej się uczyć i zdobyć jakiś zawód, tym bardziej, że pracuję tylko jako pomoc domowa.

Wasilewska Weronika

Z życiorysów byłych analfabetów

OTWORZYŁY MI SIĘ OCZY...

Urodziłem się dnia 16 maja w r. 1904 w Józefkach pow. wrocławskiego. Jak miałem 3 miesiące, wyprowadzili się rodzice do Przedcza. Ojciec mój był robotnikiem, nie mógł nas wyżywić. Gdy miałem 4 lata ojciec wyjechał do Ameryki i tam po roku pracy umarł. Przy matce byłem do 7 lat. Nas było w domu troje. Matka nie mogła poradzić biedzie, a i tamtejszy rząd przedwojenny nie zajmował się biednymi i ich ciężką dolą. Z konieczności musiałem iść na służbę. Służyłem od siedmiu lat do 21 roku. Pierwsza moja służba u ciotki, która mieszkała w Sławiencinie pow. włocławskiego. Tam pasłem 3 krowy za 7 rubli rocznie. Pracowałem u ciotki 3 lata. W tych 3 latach to wszy mnie chciały zjeść. Spałem z krowami w oborze. Wstawałem o godz. 4 rano a kładłem się spać o 11 wieczór. Po trzech latach poszedłem do drugiego gospodarza. Miałem wtedy 10 lat. Byłem u tego drugiego gospodarza rok, więcej wytrzymać nie mogłem względem zycia. 7 krów do pasienia miałem i 30 gęsi, a życie, rano barszcz z jagłami, na obiad krychane kartofle i odciągane mleko, za 13 rubli. W stajni spałem, smród od gnoju, a wszy w koszuli, aż się roiły. Na trzeciej służbie miałem trochę lepiej, bo życie było lepsze. Dostałem 60 marek na rok. Byłem



tam u tego gospodarza do 18 roku życia. Już mnie się naprzykrzyło służyć i wróciłem do matki i byłem w domu do 21 r. Wtedy ożeniłem się z taką biedną dziewczyną jak i ja. I tak żeśmy się dorabiali. Gdy myśmy się dorobili do kawałka ziemi, wzięli mnie do wojska. Był to rok 1926. W wojsku byłem 18 miesięcy. Gdy wróciłem z wojska, pracowałem z żoną do roku 1939. Zaskoczyła wojna, Niemcy mnie wywieźli z mojej ciężko zapracowanej ziemi na Górny Śląsk do kopalni węgla i pracowałem tam w tej kopalni węgla do ukończenia wojny. **Do szkoły nie chodziłem, no bo i kiedy. Nie miał mnie i kto do szkoły posyłać.** Nie tak, jak dziś, wszyscy chodzą do szkoły i uczą się. Polska Ludowa opiekuje się biednymi i troszczy się o analfabetów. Urządza kursy na naukę początkową. I ja z żoną chodziłem na takie kursy, gdzieśmy się nauczyli czytać i pisać i rachować, a do tego jeszcze uczono nas o Polsce Ludowej. Z jaką radością chodziliśmy na naukę, gdzie codzień coś nowego myśmy się nauczyli. Myśmy też lubili słuchać ciekawych opowiadań z „Przyjaciółki" i „Gromady". Jakto przyjemnie umieć czytać. Po robocie na roli lubię czytać „Gromadę", bo w niej jest duży druk. Akurat dopasowany do moich oczu. Byłem ciemny jak tabaka w rogu, a dziś mi się otworzyły oczy. Wszystko sobie przeczytam i napiszę.

Dziękuję Rządowi za wyszkolenie ciemnego chłopa. Chcę się pochwalić jeszcze, że wychowałem 6-ro dzieci, 4 synów i 2 córki. Synowie pracują na rządowej robocie. Wiedzą, że żyją na świecie. I ja chwalę ten Rząd Demokratyczny.

Grabowski Franciszek

ALE TEGO JESZCZE MAŁO

Co pamiętam od lat dziecięcych kiedy byłam mała? Chowana byłam przy rodzicach. Ojciec mój pracował ciężko na utrzymanie rodziny. Latem pracował w cegielni. A zimą pracował przy kamieniu. Ciężka to była praca, a małe wynagrodzenie. Za to ojciec nie mógł wyżywić rodziny. W 11-tym roku mego życia oddał mnie na służbę do gospodarza. Tam pasłam krowy.

Budzono mnie rychło z rana, gdy słońce wschodziło i dano mi kawałek czarnego suchego chleba do zjedzenia. Gdy przygnałam na obiad dano mi marny posiłek i znowu mnie używano do posług. W ciężkich wiadrach z rzeki wodę nosić, co nie mogłam poradzić. Musiałam parę razy po drodze odpoczywać. Gdy przyniosłam do domu, gospodyni się wydawało, że za długo nie przychodziłam. Wtedy mnie łajała i popychała i często szturchańca w plecy dawała. I znów po obiedzie zabierałam krowy i do tego gospodarz jeszcze mi dał trzy konie i musiałam to wszystko paść, a na wieczór przychodził gospodarz do mnie, zabierał ode mnie krowy i pędził do domu, a mnie pozostawił konie, i kazał długo jeszcze paść żeby konie się dobrze najadły trawy. Gdy przygnałam na wieczór konie, kolacji już nie było i ja byłam zmęczona. Kładłam się spać na barłogu, żeby trochę wypocząć do świeżej pracy. Gdy się spotkałam z moimi koleżankami, które chodziły do szkoły, gdy widziałam u nich książki i słyszałam, jak one czytają i piszą, to mi się serce z żalu krajało, żebym mogła byłabym krowy na pastwisku pozostawiła i poszła z nimi razem do szkoły. Ale tego uczynić nie mogłam, bo musiałam pracować na siebie.

Gdy w r. 1914 rozpoczęła się wojna światowa, ojca zabrano na wojnę. Matka pozostała sama wraz z 7-giem dzieci i znów mnie dała na służbę, gdzie znów musiałam ciężko pracować. Obornik wozić na pole, bo nie miał kto końmi robić, bo wszyscy mężczyźni byli na wojnie. Gdy wyszłam za mąż za małorolnego chłopa znów się rozpoczęła wojna, druga.

Przyszli hitlerowcy, wypędzili znów z mego mieszkania, miałam 5-ro małych dzieci.

Wtenczas nie mieliśmy żadnego utrzymania. Dzieci cierpiały głód. Zapracować nie było gdzie, bo tam byli wszyscy małorolni. Musiałam o chleb prosić, żeby dzieci pożywić. W r. 1945 przyjechałam do Ostrowitego i otrzymałam działkę 5-cio hektarową i znów pracowałam, dokąd nie założono spółdzielni produkcyjnej. Wtenczas wstąpiłam do spółdzielni produkcyjnej. Pracuję ze wszystkimi członkami, wspólnie i moje dzieci.

I teraz dopiero kiedy nastał kurs dla analfabetów, nauczyłam się czytać i pisać. Ale tego jest jeszcze mało, chciałabym się uczyć więcej. za to jestem wdzięczna rządowi Polski Ludowej.

Starzyk Maria

FRANCISZEK FENIKOWSKI

POMORZE ZACHODNIE

I.

Szczyt każdej wieży ceglanej
wieńczą (jak widok ten wzrusza)
sztandary wiosny — bociany,
te z „Pana Tadeusza".

Na rynkach kosze i stągwie
pełne po brzeg urodzaju,
nad nimi ptasie chorągwie
młodością powiewają.

Przekupki ryb i owocu
w słonecznym pyle spór wiodą;
a z starej baszty łopoce
ziemi tej druga młodość.

II.

Morze, wierzcie, jest fraszką dla tego,
kogo pływać nauczyła Wisła.
— mówi do mnie w porcie Kołobrzegu
stary wodniak, Chełstowski Władysław *).

Imię jego nosi na swej burcie
statek, co jakgdyby muszla czarna,
jeszcze wczoraj w Odry wartkim nurcie
dennym mułem obrastał i marniał.

On, Chełstowski, podźwignął go razem
z ludźmi, którzy załogę dziś tworzą...
I odetchnął płucami z żelaza
ich holownik — najpierwszy na morzu!

III.

Za szkolnym oknem blask kwitnie
na starych strzechach z sitowia,
w powietrzu, co drży błękitnie,
Rewekol poliliowiał **).

Rewekol. Niegdyś tam gorzał
ogień Swarożycowy,
żeglarze z mrocznego morza
ku niemu zwracali głowy.

Potem tam starzec żył srebrny ***)
i w góry pogańskiej cieniu
układał w psalm słowa zgrzebne
skazane na zapomnienie.

A dziś tu słowiańscy chłopcy
w szkole, gdzie nocą świerszcz śpiewa,
czytają już im nie obcy
wiersz o „domowych drzewach".

IV.

Ptaki, krążąc w spółdzielczej stajni,
otaczają starego Gruchałę...****)
— Żniwa? -- mówi — Tegośmy zwyczajni.
Siedemdziesiąt razy żniwowałem!

Ale takich żniw — potrząsa głową —
nie widziałem. Powiem rzetelnie:
zacznę liczyć lata na nowo
od pierwszego żniwa w spółdzielni!

I rękoma (nimi na jesieni
siewnik wiódł przy drżących latarniach
siejąc nocą) jaskółcze cienie
z pomarszczonej twarzy odgarnia.

V.

Droga w zieleni się nurza,
a brzozy na jej skraju
schodzą w dół, pną się na wzgórza,
dłońmi gałązek wiewają.

Wsie pozdrawiają i miasta,
co się jak statki na falach,
gdy im na wież rdzawych masztach
zachód światełka zapala.

Zielonym witają słowem
(każdy ich liść — śpiewny ptaszek),
a tętnią serca brzozowe
czule lecz mocno — jak nasze.

VI.

Wczoraj stawiał więcierze w Narwi,
gdzie się ryby księżycowe pluskały,
w oczach jego jeszcze się barwi
błękit rzeki, słońcem spłowiały.

Jeszcze Bałtyk mu wiatru dłutem
w twarz nie wrzeźbił swojego piętna,
jeszcze wargi pomną pól nutę,
co jak pszczoła krąży natrętna...

I gdy z morza w darłowską przystań
kuter pewną wprowadza ręką,
młody szyper przez zęby śwista
mazowiecką, polną piosenkę...

VII.

Bocian, w mgle brodząc, pierś odął
i z łąki startuje cichej,
wozy wracają do stodół,
kurz złotem wplata się w szprychy.

Kołem obraca się wolno
wieczorna ziemia na północ,
wśród lotnych mgieł drogą pełną
wóz płynie jak wielkie czółno.

Bocian powraca na gniazdo,
dziewczęta na snopach płyną,
wschodzi nad łęg pierwszą gwiazdą
latarnia morska, Czołpino.

VIII.

Wiatr zwijał włosy jej w pukle,
gdy stała na molo z cebrem,
w którym bałtyckie pomuchle
żywym miotały się srebrem.

Rumiana, rybacka córa
za kutrem, co w wód zniknął ogromie,
patrząca — to ziemia, która
trwa w wietrze młoda jak płomień!

*) Władysław Chełtowski — kapitan holownika „Władysław", który zajął pierwsze miejsce we współzawodnictwie taboru pływającego S.U.M. (Szczecińskiego Urzędu Morskiego).

**) Rewekol — góra nad J. Gardno, niegdyś miejsce kultu bogów pogańskich Pomorzan.

***) Michał Mostnik — Pontanus (1583—1654), pastor w Smołdzinie u stóp Rewekolu, tłumaczył na język słowiański katechizm, psalmy pokutne i inne pieśni religijne.

****) Bazyli Gruchała — przewodniczący i stajenny spółdzielni produkcyjnej w Garczegórzu pod Lęborkiem. Jesienią ub. r. aby wykonać terminowo plan zasiewów siał nocami przy latarniach.

JAN SKALSKI

ZWYCIĘZCY TRUDNEJ JESIENI

MINĘŁO już 6 miesięcy kiedy Ziemowit 17-letni chłopak, ochotnik SP, pożegnał dwie morgi matczynego piachu w Opolu nad Wisłą i rozpoczął pracę przy budowie Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych. Sześć miesięcy — to znaczy dwa turnusy SP. Obiecał matce, że za 3 miesiące wróci, ale wracać jakoś nie ma ochoty. Zrozumiemy to łatwo, kiedy zobaczymy z jakim zapałem stanął przy tokarce. Brygadzista chwali sobie chłopaka. Robi postępy. Niedługo zostanie prawdziwym tokarzem.



Nie, matko Ziemowitowa, wasz syn już nie wróci na wieś, zostanie tutaj przy fabryce. Kto wie, czy i was do siebie nie ściągnie.

Dziwicie się stara Ziemowitowo. Dziwicie się nie dlatego, że syn ruszył do fabryki. To u was nie pierwszyzna. Na dwóch morgach rodziny przed wojną nie utrzymał. Wasz chłop też do miasta ruszał. Na sezonową robotę, to tu to tam, ale zawsze do domu wracał. Dlatego dziwicie się, matko Ziemowitowa, że syn został. Przecież osłuchaliście się od młodości, jak kiwano głowami nad losem robotniczym.

— Taki to los prawie jak włóczęgi — raz jest co do gęby włożyć raz nie ma.

I dlatego byli tacy, co choć przymierali głodem na 2-ch morgach, trzymali się tych mórg i do rajzerki ich namówić się nie dało. Lepsza stara chłopska bieda niż robotnicza.

I kto wie, czy nie mieli racji... Bo tak było matko Ziemowitowa przez całą waszą młodość...

Dziwicie się więc matko — ale przestaniecie się dziwić, jak odwiedzicie swojego syna — w lubelskiej fabryce. Zobaczycie go nie przy łopacie a przy tokarce. To kwalifikowana siła — to robotnik jakim nigdy nie mógł stać się wasz chłop. Zobaczycie go przy tokarce w Fabryce Samochodów w Lublinie — w takiej fabryce, której wasze oczy nie oglądały nigdzie przed wojną i oglądać nie mogły, choćbyście przeszli Polskę wzdłuż i wszerz. Zobaczycie dalej, że nie trzeba było wcale spacjalnego szczęścia, by wasz syn dostał się do fabryki i żadnej innej protekcji prócz dobrych chęci, bo gdybyście się rozejrzeli i popytali okazałoby się, że ponad 60 proc. tutejszych robotników to wczorajsi chłopi. Oni tak samo jak wasz syn nie powrócą już na wieś. Tutaj zdobyli cenny zawód. Zostali zbrojarzami, betoniarzami.

Jeden z nich to Stanisław Zdunek. Ten długo trzymał się ojcowskich morgów.

— Sześć lat — mówi — straciłem — a już od 6-ciu lat mogłem mieć fach, jak się patrzy.

Ale z tym większą energią zabrał się do roboty. Pracę rozpoczął w marcu jako cieśla. Znał się trochę na tym. Ale wkrótce pociągnęła go zbrojarka. Robił tak szybkie postępy w nowym zawodzie, że w sierpniu został brygadzistą, we wrześniu wyrobił z brygadą 180 proc. normy, a w ostatnich najgorętszych dniach października zdał egzamin wstępny na korespondencyjny kurs technikum budowlanego. Widocznie nauka nie przeszkadza pracy, gdyż właśnie w październiku brygada Zdunka wykonała 200 proc. normy.

Ale najwięcej was, matko Ziemowitowa, przekona to, że żaden z tych młodych nie myśli z lękiem o jutrze — wprost przeciwnie, właśnie do jutra ma największe zaufanie.

Zrozumiecie wtedy, skąd tyle u tych młodych wesołości, swobody i zapału.

Kiedy będziecie się wybierać do fabryki znajdą się z pewnością tacy, którzy wam powiedzą: „Do miski robotnikom zajrzyjcie. Na pewno się nie przelewa". A może znajdą się i tacy, którzy będą wam proponować wianuszek kiełbasy własnego wyrobu — bo „przecież oni tam trzy miesiące mięsa na oczy nie widzieli".

Przyjedziecie, przekonacie się, że owszem mięsa nie tyle co by każdy w mieście chciał, ale przecież jest i w stołówce robotniczej pachnie. Ale jeśli przy tym zaobserwujecie dobrze pracę ludzi z fabryki. Jeśli ujrzycie jak zwiększają tempo i jakość produkcji w wielkim rozmachu wytwórczym, którego rozpęd wzięli w czasie zobowiązań październikowych — to będziecie świadkiem wspaniałego zjawiska obecnego etapu, kiedy robotnicy Polski Ludowej, idąc za porywającym wzorem budowniczych pięciolatek stalinowskich ukazali swą dojrzałość klasową — i prawdziwie socjalistyczną postawę.

Bo czyż nie potrafi zadziwić każdego, kto nie doceniał ogromu przemian w świadomości naszej klasy robotniczej, że właśnie teraz na etapie obecnej jesieni, którą historia nazwie kiedyś „trudną jesienią" robotnicy nasi zdobyli się na wielki zryw produkcyjny, że właśnie w okresie kiedy spiętrzyły się trudności aprowizacyjne, nasza klasa robotnicza potrafiła nie tylko utrzymać swą wydajność, ale ją przekroczyć i podnieść na wyższy poziom.

Ruszyły na wiele miesięcy przed terminem giganty naszego przemysłu. W rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej ruszył Żerań, Lubelska FSC, Kombinat Piotrkowski, wielki taśmowiec w Szczecinie.

24 października czytaliśmy komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego w III kwartale 1951 r. — Trzeci kwartał to lipiec, sierpień, wrzesień. Komunikat ten mówił o globalnym wzroście naszej produkcji o 20 proc. w porównaniu z III kwartałem roku ubiegłego. Cały szereg gałęzi naszego przemysłu przekroczyło znacznie swój plan. Jednocześnie jednak w przemyśle ciężkim a więc w hutnictwie, w przemyśle lękkim a więc przede wszystkim we włókiennictwie i na kolejach mimo bezwzględnego wzrostu w stosunku do III kwartału ub. roku — brakowało kilka procent do pełnego wykonania planu na III kwartał b. r. — wynik splotu trudności, jakie pojawiły się pod koniec lata.

Mogłoby się zdawać, że w październiku sytuacja będzie taka sama. A tymczasem właśnie w tych spóźnionych gałęziach gospodarki staliśmy się świadkami nie tylko wyrównania planu, ale jego przekroczenia.

Oto już w dniu 22 października kraj dowiedział się, że robotnicy wielkich pieców huty Katarzyna wyprodukowali ponad plan 60 ton surówki. W tym samym czasie załoga wielkich pieców huty im. Dzierżyńskiego dała ponad 55 ton surówki ponad dzienne normy.

Załoga spóźnionej huty Zygmunt zameldowała w dniu 5 listopada o wyprodukowaniu 118 ton stali ponad dzienny plan .

Stalownicy Huty Pokój przynieśli 418 ton stali ponad plan.

Gdy się zsumuje wyniki produkcyjne w okresie całego października są one jeszcze bardziej imponujące.

Jedna huta Florian dała w okresie realizacji zobowiązań październikowych 2.000 ton stali i 1.000 ton surówki.

Robotnicy huty Kościuszko dali blisko 3.000 ton stali i półtora tysiąca ton surówki ponad plan. Stalownicy Huty Pokój wyprodukowali tysiąc ton stali ponad plan. A robotnicy stalowni im. Stalina aż 6.200 ton stali ponad plan.

Podobnie zakłady włókiennicze.

Załoga tkalni centralnej Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej dała w październiku i to już 27 ub. miesiąca 80.000 metrów tkanin ponad plan. Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Dywizji Kościuszkowskiej — dały dodatkową produkcję wartości 100.000 złotych. Podobnie Zakłady im. Gen. Waltera i zakłady przemysłu wełnianego im. Władysława Reymonta. Razem sami łódzcy włókniarze dali ponad planową produkcję wartości 35.000.000 złotych. Wartość samej tylko ponad planowej produkcji robotników poznańskich przekroczyła w tym czasie 34.000.000 złotych.

Równie imponująco przedstawia się realizacja zobowiązań październikowych przez górników.

Już 20 października górnicy kopalni „Eminencja" zameldowali o przekroczeniu zobowiązania. Mieli wydobyć 3.625 ton ponad październikowy plan — a już na 10 dni przed terminem wydobyli 32.725 ton.

Górnicy kopalni „Prezydent" przekroczyli o 38 proc. zobowiązania październikowe.

Kopalnia „Matylda" wykonała swój plan w październiku w 111 proc. wydobywając 4.500 ton węgla ponad plan.

A przecież są to tylko niektóre meldunki z trzech zaledwie dni. A przecież są to tylko niektóre przykłady z niektórych gałęzi przemysłu.

Wobec tych liczb stajemy z podziwem i ciśnie nam się na usta pytanie: *Co się stało?*

Przecież ta sama huta Florian wykonała w lipcu zaledwie 72,6 procent planu, w sierpniu tylko 90,3 procent planu, a we wrześniu tylko 88,5 procent planu.

Czy to więc przypadek, że w październiku dała 107,2 procent planowanej stali?

Nie, to nie jest przypadek — to skutek wytężonej walki jaką podjęli tam wszyscy od dyrektora do prostego hutnika. A istota sprawy polega na tym, że taką walkę potrafili podjąć i że zwyciężyli.

Cóż się więc stało?

Urośli u nas ludzie zdolni do wykonywania wielkich zadań 6-latki — i rosną wciąż nowi, tacy jak Ziemowit i Zdunek w Lubelskiej Fabryce Samochodów. Urośli razem z murami nowej fabryki. To rówieśnicy naszego budownictwa socjalistycznego.

Jakże nędzne wydają się oczekiwania panów z „Głosu Ameryki", że trudności rynkowe potrafią załamać nasz plan gospodarczy. Jakież nędzne wydają się te nadzieje wobec takiego np. człowieka jak Jan Gładysz brygadzista z FSC w Lublinie. Jan Gładysz to młody fachowiec. Człowiek kadry. Do FSC przyjechał z Gliwic. Nie była to „rajza" z typu „rajzy" bezrobotnego Amerykanina w poszukiwaniu jakiejkolwiek pracy. Nie była to nawet „rajza" w poszukiwaniu lepszej pracy lub większych zarobków.

Jan Gładysz był zadowolony ze swej pracy i płacy w Gliwicach. Pozostawił tam dziewczynę, z którą miał się wkrótce ożenić. Był bardzo ceniony w dotychczasowym zakładzie pracy. Kierownik zakładu wręczając mu przeniesienie służbowe „zaofiarował mu jednocześnie swą pomoc przy wyreklamowaniu". Ale Gładysz był człowiekiem wychowanym przez Partię. Rozumiał, że Lublinowi są potrzebni fachowcy. Że tam jest pierwsza linia walki. Był dumny, że Partia jego właśnie na to odpowiedzialne stanowisko wysunęła. Propozycję kierownika odrzucił i pojechał.

Czy przeżywał wewnętrzny konflikt w rodzaju Judyma z „Ludzi Bezdomnych". Nie, nie widział wcale w postępowaniu swym nic z dramatu. Czuł się szczęśliwy, że może montować konstrukcje FSC, że może montować transportery... Tak było przez 3 miesiące, po 3-ch miesiącach wyjechał na 3 dni i — ożenił się. „Zmontował małżeństwo" — mówili z uśmiechem koledzy.

Czy nowy konflikt? Nie. Zapytany, czy młoda żona nie buntuje się przeciwko rozłące, dał odpowiedź, która zastanowiła kolegów:

— Po pierwsze rozłąka nie potrwa długo, po drugie — moja żona jest tak jak ja z klasy robotniczej, chcemy być szczęśliwi nie jeden dzień, lecz zawsze".

Oto nowa świadomość i postawa polskiego robotnika. Umie on patrzyć w przyszłość. Gotów jest wyrzec się dzisiaj wygód życiowych, bo wie, że tym piękniejsze i trwalsze będzie jego szczęśliwe jutro. Wie, że budując fabrykę i pokonując trudności, buduje swoje własne życie, lepsze życie. Gładysz już w tych dniach wprowadzi żonę do nowego mieszkania przydzielonego mu w osiedlu przy fabryce. Niedługo się czeka na „jutro" w Polsce Ludowej.

Ludzie o takiej świadomości jak Gładysz to właśnie gwarancja wykonania naszego planu 6-letniego.

Partia, która takich ludzi wychowała i zorganizowała do wielkiego dzieła budownictwa, to Partia, której cały naród może w pełni zaufać, to Partia nowego typu, Partia czerpiąca swe siły ze wskazań Lenina i Stalina.

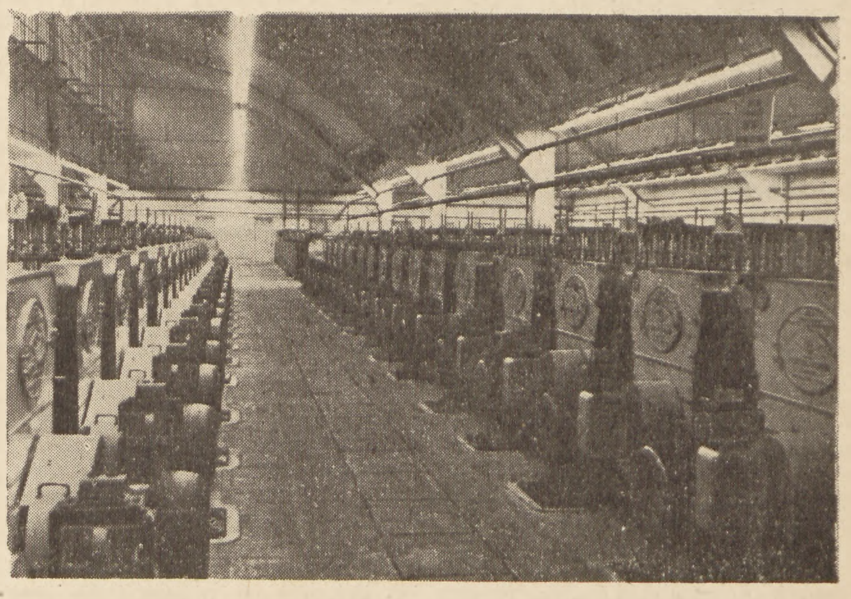
Hasłem do zwycięstw naszego października stała się rocznica Rewolucji Październikowej. Nie była ona tylko wielką datą w podjęciu zrywu. Rocznica Rewolucji Październikowej ma dla naszej klasy robotniczej znaczenie symbolu ucieleśniającego w sobie wszystko, co polska klasa robotnicza zawdzięcza Krajowi Rad.

Gdy Gładysz przyjechał z Gliwic do Lublina zastał w hali montażowej części świeżo przybyłych maszyn — na wiekach skrzyń czytał słowo „Polska" ten adres wypisał radziecki robotnik. A później przyjechali radzieccy inżynierowie i fachowcy pomagać. Gładysz od nich się uczył. I jeszcze jedno zawdzięcza ludziom radzieckim. Swoją pewność i wiarę w zwycięstwo. Bo wie, że w walce z trudnościami nie jesteśmy sami. Że za nami stoi Wielki Przyjaciel, na którym można polegać. On pomoże. Naród Radziecki.

Górnicy kopalni Śląsk osiągnęli niedawno wydajność 12 ton węgla na górnika i przekroczyli plan produkcyjny. A przecież niedawno jeszcze kopalnia borykała się z trudnościami, mimo, że w kopalni pracował wielki kombajn produkcji radzieckiej „Donbas". Tak ale nowoczesnej techniki ludzie z kopalni „Śląsk" nie potrafili jeszcze opanować. Trzeba było dopiero by z dalekiego zagłębia donieckiego przybył radziecki towarzysz — instruktor kombajnowy i nauczył „wyciągać z techniki wszystko, co ona dać powinna".

Nasi mistrzowie szybkościowych wytopów to uczniowie radzieckich towarzyszy. Nasi gospodarni włókniarze to korabielnikowcy. A iluż z naszych inżynierów korzystało z doświadczeń Kowalowa?!

Uzbrojeni radziecką pomocą, wychowani przez Partię — brata partii Lenina — Stalina robotnicy nasi potrafili stawić czoło trudnej jesieni. Nie tylko w fabrykach i kopalniach.



Hala silników samochodowych w Lublinie.

Jeśli powiększa się liczba powiatów, które wykonały obowiązek w dziedzinie skupu zboża i ziemniaków jest to także zasługa robotniczego agitatora pomagającego sojusznikowi — chłopu w rozumieniu sensu wielkiego wspólnego wysiłku w imię wielkiej rzeczy, której na imię Socjalizm.

Jan Skalski

LESZEK HERDEGEN

POECI DOBRZY I RÓŻNI (III)

SPRAWA WYOBRAŹNI

W poemacie „Towarzysze, mówię o nim" zamieszczonym w tomie Ballady i pieśni"[1]) Tadeusz Kubiak w ten oto sposób określa rolę swej poezji w życiu budującego socjalizm społeczeństwa:

„Jestem z wami — bo dziś
poezja — to także atak!
Koledzy poborowi idci!
Rewolucja ma oczy łagodne.
Ale dłonie ma nawet
dla samej siebie twarde.
Wszędzie tam, gdzie świt zawrzał
pracą — zaciągnąć wartę!
Gdzie wyzłocił twarz muzie
wolności — trzymać wartę!"

Postawa ta jest głęboko słuszna i niewątpliwie założenie, że „poezja— to także atak" leży u podstaw całej twórczości poety. Począwszy od debiutanckiego tomiku „Słowo pod żaglem" (1948 r.) Kubiak stara się realizować postulaty poezji upolitycznionej, związanej z życiem i walką mas pracujących i masom tym adresowanej — dążenia te jednak nie zawsze są uwieńczone pomyślnym rezultatem. Otóż humanistyczna i jeszcze w pełni nie sprecyzowana politycznie postawa ideowa poety z tomu „Słowo pod żaglem" nie została ugruntowana i skrystalizowana w następnej książce „Żołnierze i robotnicy". W każdym razie jej kształt artystyczny, jej odbicie w konkretnym materiale poetyckim nie świadczyło o prawdziwie głębokim przemyśleniu stosunku poety do rzeczywistości, do aktualnych problemów politycznych i społecznych. Doświadczenie uczy, że w literaturze każda forma artystyczna warunkuje odpowiednie dla niej walory ideologiczne. Twierdzenie to okazuje się w pełni słusznym w wypadku Tadeusza Kubiaka. Poemat „Narodziny epoki" (książkę „Żołnierze i robotnicy" dopełnia drugi obszerny utwór pt. „Dwaj żołnierze") pozbawiony jest konkretności, obfituje w abstrakcyjne porównania i określenia, każda najbardziej prosta i zwykła sprawa nabiera pod piórem Kubiaka cech kosmiczności i pozaziemskiej barwy. Polska np. to „wyspa sprawiedliwych ludzi wierzących w jutro", ziemia „dobrej nadziei" itp. Poemat „Narodziny epoki", podobnie jak „Dwaj żołnierze" (w mniejszym stopniu obciążony wspomnianymi błędami) zawiera wiele prawdziwie pięknych i śmiałych fragmentów, co jednak nie decyduje o jego pozytywnej wartości społecznej. Zaczęła się sprawa wyobraźni Tadeusza Kubiaka, wyobraźni bogatej i ciekawej — ale nie kontrolowanej, podającej skojarzenia i obrazy zupełnie swobodnie, bez koniecznej jednolitości i ładu. Sporo późniejszych utworów traciło swe społeczne i artystyczne znaczenie, gubiąc walory ideowe w chaosie obrazowania, które nieraz trzeba ocenić jako zupełnie zbędną, barokową ornamentację.

Błędy te odezwały się również w książce „Człowiek jest blisko" (1949 r.) w której znalazły się poematy „Rzecz o Trasie W—Z" i „But Generała" (Świerczewskiego). Pierwszy z nich — pomyślany bardzo trafnie jako hołd złożony przez poetę budowniczym nowej Warszawy — nie spełnił swego zadania, ponieważ zamierzenie poety nie zostało wyrażone w sposób artystycznie jasny i precyzyjny. Doszedł tu do głosu abstrakcjonizm wyobraźni Kubiaka, który kazał mu m. in. kopaczkę nazywać bykiem, robotnika — torreadorem, tor kolejki wąskotorowej — ścieżką, a lokomotywę — koziorożcem. Również rozpatrywanie życia Generała Waltera z perspektywy podeszwy jego buta nie wydaje się być słusznym. W rezultacie tego ujęcia postać wielkiego rewolucjonisty nie może być prawdziwa, nie może działać mobilizująco na czytelnika.

Wprawdzie wiele utworów z książki „Człowiek jest blisko" otrzymało czysty i przekonywujący kształt, niemniej jednak niebezpieczeństwo antyintelektualnej, wyłącznie emocjonalnej postawy poety wobec rzeczywistości stawało się coraz bardziej groźne. Hasło „Poezja — to także atak" zostało w praktyce poetyckiej na razie tylko w drobnej części zrealizowane.

*

Najnowsza książka Kubiaka (a właściwie nie najnowsza, bo w ostatnich miesiącach ukazał się poemat o Feliksie Dzierżyńskim pt. „Serce partii") zawiera wiersze pisane na przestrzeni lat od 1950 — 1951. Obserwujemy w nich dalszą dążność poety w kierunku powiązania swej twórczości z aktualnymi zdarzeniami społecznymi i politycznymi, znajdziemy wiersze mówiące o walce klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, o międzynarodowej solidarności mas pracujących, o walce klasowej na wsi, o budownictwie komunizmu w Związku Radzieckim, o walce o pokój. Utwory te jednak — mimo pożytecznej i ważnej społecznie tematyki — nie nadają tej książce pozytywnego oblicza. Dlaczego? W większości utworów „politycznych" forma nie nadąża za treścią, ponieważ: uwikłane są one w stylizacji na ludowość, w irracjonalizmie i chaosie dygresji skojarzeń, w związku z czym wiersze i fragmenty wolne od tych zarzutów giną i trudno dostrzec ich bezsporną wartość.

Weźmy jako przykład „Noc i dzień" — wiersz mający być rozprawą z wrogimi elementami społecznymi na wsi. Koncepcja tego utworu polegająca na wrogiej naszemu ustrojowi rozmowie trzech byłych posiadaczy wiejskich, którzy tańczą na moście w blasku księżyca — nie pomaga autorowi w realistycznej interpretacji problemu. Zagadnienie walki klasowej jest tu zupełnie odrealnione do czego walnie przyczynia się groźna sceneria, tajemniczy nastrój rzeki „martwej jak kościec średniowiecznego opata"(?!). Pogróżkom kułaków i młynarzy przeciwstawia poeta głosy ludzi pracy; wypowiedzi ich jednak nie ujmują istotnych dokonanych przez nas przemian na wsi. Mówią oni o „biednych, którzy nie mieli swej gruszy ze złotem martwym jak księżyc", o „ziemi dzielonej na wielkość serc przez ręce ubogich". Widzimy jasno: przepoetyzowanie, środki wyrazu nie związane z zagadnieniem naczelnym, nie podporządkowane linii przewodniej wiersza — burzą jego realizm, dewaluują cenne założenie tematyczne. Forma nie nadąża za treścią. Skąd w utworze o wsi polskiej może znaleźć miejsce taki passus:

„A księżyc zachodził nad światem,
nad wodą, szuwarem i mgłą.
I nad tańczącymi, jak kiedyś —
sur le pont d'Avignon,
sur le pont d'Avignon..."

Wyobraźnia dyktuje poecie obrazy i dygresje, które często nie wytrzymują intelektualnej oceny i okazują się pseudo — poetyckimi, barokowymi ornamentacjami. Tak jest w wypadku cyklu „Z notatek bułgarskich", które pomyślane jako ludowe, mają właściwie charakter bardzo „inteligenckiej" stylizacji na ludowość:

„Bo na północy godna
dziewczyna tego ognia.
Przez doliny różane
i przez pola tytoniu
przebiec, dopaść, stratować
oczami jej usta.
Jak łąkę, jak ziemię!
Znam w południowej Dobrudży
miasteczko śpiewne. A oto
chanson d'amour Bułgarii
z iście krakowskim refrenem."

Fragment ten jest przecież zlepkiem zupełnie niepowiązanych sformułowań — mimo pewnej błyskotliwości — naprawdę niewiele mówiących. W cyklu „Z notatek bułgarskich" Kubiak porusza niektóre problemy z rewolucyjnej przeszłości Bułgarii, gubiąc jednak ich historyczne znaczenie w rozpoetyzowanym języku, w chaosie obrazowania. Nie dociera do istoty zjawisk, nie analizuje, a tylko powierzchownie je dotyka.

Podobne błędy ciążą na wielu utworach („Opowieść starego pasterza", „Szkice gęsim piórem", „Jadący do ślubu widzą samotny wiatrak"), z których każdy ma na celu poetyckie rozpatrzenie jakiegoś zjawiska dziejącego się w naszej współczesności. Cóż, kiedy pozbawione są konkretu, pozbawione dobitnego nazwania spraw, o których trzeba mówić jasno i prosto, a nie przy pomocy odległych, nieraz zresztą dość interesujących metafor.

Forma poetyckiej gawędy, ludowej ballady czy przypowieści, której Kubiak nagminnie używa, nie zawsze jest odpowiednim naczyniem w które można wlać aktualną, wymagającą dokładnej analizy problematykę. Jednak Kubiak jest w tym zamiłowaniu niebiezpiecznie konsekwentny. Zapomina o logice konstrukcji, o obowiązujących poetę rygorach formalnych i często jego „poezjowanie" staje się słowolejstwem. Wiele wierszy traci swą wartość ideową w wyniku przesadnie swobodnego języka artystycznego. Brak czujności w stosunku do każdego napisanego słowa daje się w książce Kubiaka odczytać dość wyraźnie.

Stąd — niefortunne ujęcia stylistyczne, niepotrzebne hiperbole w odniesieniu do spraw, o których można mówić potocznie i prosto. Oto dwa przykłady:

„Skroniom rzadko włos bielał
dnom rzek rzucano dzwony..."
(„Patrząc wstecz")

„Dwóch córek słońcu
włos poślubiony..."
(Co się zdarzyło w hotelu „Różanka")

(— miał tu zapewne poeta na myśli dwie blondynki —).

Wolne w dużym stopniu od tych niedociągnięć są dwa większe utwory „Towarzysze, mówię o nim" i „Do mojej córki o pokoju". Operują one prawdziwie swobodną poetycką mową — i chociaż w poemacie o Stalinie doszła do głosu maniera niepodporządkowanych idei utworu dygresji — to jednak pozwalają one z ufnością patrzeć w poetycką przyszłość Kubiaka. Będzie ona z pewnością bogata i społecznie mobilizująca z chwilą, gdy poeta narzuci swej nieskoordynowanej wyobraźni rygory intelektualne, gdy każdemu napisanemu słowu nada celność i artystyczną wagę. Wtedy słowa „poezja — to także atak" znajdą pełne pokrycie.

POETA, KTÓRY MYŚLI

Witold Wirpsza jest poetą, którego twórczość rozwija się w sposób bardzo ciekawy i konsekwentny. Wiersze zebrane w jego pierwszym tomiku „Sonata" (1949 r.) powstawały jako wyraz abstrakcyjnych doznań poety, dla którego dziedziny sztuki (architektura, malarstwo a przede wszystkim muzyka) były osią zainteresowań poetyckich. Oczywiście nie kwestionujemy samych zainteresowań tematycznych — atakujemy sposoby rozwiązywania problemów, będące wynikiem ówczesnej „bezideowości" poety. Owa pozorna bezideowość, którą można odczytać z dawnych wierszy Wirpszy, była w gruncie rzeczy dobrze nam znaną ideologią zagubionej inteligencji artystycznej. Poeta obracał się w klimacie oderwanych od rzeczywistości wzruszeń przeważnie natury estetycznej, próbował transponować swe wrażenia muzyczne na język poezji i nie posługując się w swej poetyckiej pracy jakimiś kryteriami społecznymi w ocenie opisywanych zjawisk — stwarzał własny, zamknięty światek.

Ideologia żyjącego poza rzeczywistością poety pociągała za sobą równie niewłaściwe środki artystycznego wyrazu. Wirpsza starał się dać jak najbardziej dokładny obraz swych przeżyć w związku z czym jego nie kontrolowana wyobraźnia dyktowała mu zupełnie przypadkowo kojarzone obrazy, komplikowała styl, powodowała formalistyczne wynaturzenia. Mimo tych wszystkich zarzutów trzeba stwierdzić, że dążenie do dosłowności i precyzji w przekazywaniu swych wzruszeń czytelnikowi była u Wirpszy cenna i stanowiła niezłą szkołę dla późniejszej pracy nad słowem. W ramach błędnej z gruntu zasady twórczej Wirpsza okazał się jednak twórcą rzetelnym, dbałym o kulturę języka artystycznego swej poezji.

Już w „Sonacie" można znaleźć akcenty zapowiadające przyszłe przemiany w postawie ideowej i artystycznej, których dziś jesteśmy świadkami. Oto w wierszu „O duchu praw nowych" Wirpsza pisał:

„Dziś, gdy poezja nauczyła mnie
mówić rzeczy proste
wprost — i gdy nie przecinek jest
ważny, a słowo,
a od słowa ważniejsza myśl,
właśnie dziś będę mówić o duchu
praw,
których nauczyło mnie ujście Odry,
rozbita Warszawa,
nowy słup graniczny i czołg
zawalidroga milczący, rdzewiejące
wspomnienie wojny
o przestrzelonym sercu
i zwisającej lufie".

Te sporadyczne, świadczące o krytycznym stosunku poety do dotychczasowej twórczości momenty, poprzedziły poemat pt. „Stocznia", który stanowił próbę wyjścia z ciasnego kółeczka estetyzmu i powiązania poezji z aktualną tematyką.

Nie była to próba w pełni udana. Nowy światopogląd poety nie był na tyle ugruntowany, żeby pokierować warsztatem twórczym, w rezultacie czego ważny społecznie problem budowy nowego okrętu nie został rozwiązany w sposób zgodny z założeniami realizmu. Poeta podjął odważnie nowe i trudne dla niego zagadnienie, jednak rozważając je i komentując stanął na stanowisku biernego obserwatora, który okiem wyrafinowanego estety spogląda na pracę w stoczni, na ciekawy krajobraz portowy. Wirpsza nie dostrzegł pracującego ciężko robotnika, zapomniał o jego przeżyciach — wystarczył mu ciekawie rysujący się na ścianie cień montera, wzbogacający malarski obraz warsztatu. Mimo tych wad (i wielu innych, jak np. przesadne apoteozowanie maszyny, wysunięcie na pierwszy plan postaci narratora) poemat ten należy ocenić jako dalszy krok w stronę poezji ideowo celnej, artystycznie jednoznacznej. Niezależnie od znaczenia obcej dotąd poecie tematyki — Wirpsza w „Stoczni" ukonkretnił swój język, styl przejaśnił, uprościł metaforykę, wzbogacił swe słownictwo o pojęcia techniczne, czyli codzienne, które nie znajdowały miejsca w elitarnej poezji burżuazyjnej. (Nie licząc, rzecz jasna, awangardowego maszynizmu, który był jeszcze jedną pomyłką tej poezji).

Najnowszy tomik Wirpszy „Polemiki i pieśni"[2]) zawiera już utwory o zdecydowanej linii ideologicznej, o formie nieraz bardzo oryginalnej, która świadczy, że Wirpsza wypracował sobie swój własny styl poetyckiego przemawiania na aktualne, polityczne tematy.

Jest to poezja prawdziwie intelektualna, sięgająca w głąb podejmowanych zagadnień, analizująca je wyłącznie na platformie myślowej. Poeta nie posługuje się w żadnym wypadku obrazem — wystarcza mu rezonerskie (w dobrym tego słowa znaczeniu!) sformułowanie. Przykładem potwierdzającym powyższą opinię są: „Traktat polemiczny" (interesująca i politycznie trafna dyskusja poetycka z błędną — obecnie okazało się, że wrogą — postawą ideową i artystyczną Czesława Miłosza), „Na spadek funta", „Koszt łodzi podwodnej" (częściowo).

Dążność do suchego, przemyślanego dowodzenia artystycznego prowadzi jednak nieraz do przesadnego sprozaizowania języka, jak to ma miejsce w wierszu pt. „W Marsylii":

„Mogło się to dziać rok albo dwa
lata temu,
w kraju, w którym walka klasowa
ma ostatnio
szczególnie ostre oblicze i gdzie
robotnik wie,
że broni wielkich tradycji swego
narodu."

Wirpsza zastrzega się:

„Te wiersze wstępu pisane
językiem suchym
to obrona przed zarzutem, że
jestem jak Francuz
sentymentalny."

Uprozaicznienie pierwszej strofy, choć świadome i opatrzone usprawiedliwieniem, jest jednak pewnym wynaturzeniem, zbyt zręcznym chwytem.

Inne błędy ciążą na „Trzech portretach" (— chłopca z bursy T.P.D., starego robotnika i wynalazcy —), w których statyczny opis zastygłych w pewnym geście, typowych dla naszego ustroju ludzi, nie spełnia zadania mobilizowania wyobraźni czytelnika. W opisach tych poeta za dużo myślał, za mało czuł.

Nie można zaprzeczyć, że każdy wiersz Wirpszy zaskakuje jakimś oryginalnym a nigdy nie formalistycznym pomysłem, że jest zbudowany na głęboko przetrawionym materiale, podanym rzeczowo i solidnie, bez deklaratywności i uciążliwych sloganów. Mimo to odnosimy czasem wrażenie, że poezji Wirpszy brak bezpośredniej uczuciowości, brak wizji i obrazu (np. „Na spadek funta"). Sucha prostota intelektualnych też nieraz zawodzi i staje się sztucznością. Dlatego to wiersze „Pięcioletni", „Koszt łodzi podwodnej" i „Piosenki żołnierza" trzeba zaliczyć do najbardziej pozytywnych osiągnięć poety — jako, że w pewnym sesie wyłamują się z narzuconych przez Wirpszę na swoją twórczość rygorów. „Pięcioletni" wzrusza i zaciekawia swym delikatnym liryzmem i humorem, „Piosenki żołnierza" stanowią właśnie próbę wzbogacenia wywodów intelektualnych konkretnym obrazem, a „Koszt łodzi podwodnej" niezwykle pomysłowo ujmuje zagadnienie okrucieństwa ustroju kapitalistycznego i mówi o tym pięknym, skupionym językiem:

„Lecz rząd kolonialny
na włoskim półwyspie
przez wszystkie rozgłośnie
ogłosił strat listę.
Na dnie pięćdziesięciu,
tlen łapiąc ustami,
zamknęło odbiornik
śmierć czując na krtani.
Na młodych przegubach
zegarków gra szept:
jesteście skazani,
skazani na śmierć.
Ćwiczenia wojskowe?
Być może, ćwiczenia.
I pakt atlantycki
i sprawy sumienia...
Lecz bliski dramatu
jest akt już ostatni.
Jest włoski robotnik,
jest w Rzymie Togliatti
i cierpień i morderstw
już zbliża się kres.
Jest walka klasowa
i w Moskwie jest Kreml."

Witold Wirpsza jest poetą bardzo ambitnym i twórczym i dlatego na pewno jego dalsza twórczość pójdzie po linii wzbogacenia wierszy elementami lirycznej bezpośredniości (tak cennej u Kubiaka), przy zachowaniu całej powagi i „solidarności intelektualnej" (czego Kubiakowi brak), która pozwala oceniać jego poezję jak najbardziej pozytywnie.

„OBIETNICA"

Trudno w zbiorowym omówieniu, które — choćby ze względu na swoją objętość — wymaga pewnych uproszczeń i streszczeń, analizować dokładnie poezję Tadeusza Różewicza. Jest to poeta, którego twórczość bieżącą trzeba rozpatrywać zawsze na tle poprzedniej, zawsze w związku z wydanymi dotychczas zbiorkami poetyckiemi. W twórczości Różewicza uderza konsekwentna kontynuacja i rozbudowa pewnych cech formalnych przyjętych już w pierwszych utworach, a jego ewolucja ideowa przebiega bardzo powoli i poszczególne książki nie są odcinającymi się wyraźnie od poprzednich etapami tej ewolucji. W związku z tym omówienie jego ostatnio wydanego tomiku „Czas który idzie"[3]) wymagałoby skrupulatnej analizy przeszłości poetyckiej Różewicza. Niestety, musimy się ograniczyć tylko do zanotowania najbardziej znamiennych momentów.

Pierwsze tomiki Różewicza ukazały się w r. 1947 („Niepokój") i 1948 („Czerwona rękawiczka"). Wiersze w nich zebrane pisał poeta, który głęboko przeżył okrucieństwo wojny faszystowskiej i starał się dać poetyckie świadectwo swemu przerażeniu i psychicznym obciążeniom w związku z okupacyjnymi wspomnieniami. Przerażenie było jednak „zarażeniem" śmiercią, stało się obsesją, prowadzącą poetę do pesymistycznych wniosków, uniemożliwiając mu przyjęcie postawy normalnego człowieka, który po zwycięstwie winien stanąć do odbudowy i pracy w odrodzonym kraju. Przyczyna tego leżała w błędnej ideologicznie ocenie minionej wojny. Różewicz interpretował ją jako abstrakcyjnie pojęte zabijanie ludzi, a nie jako określone zjawisko ekonomiczno - społeczne, mające konkretne przyczyny i przewidziane zakończenie. Ten — niewątpliwie ogólniehumanistyczny i pacyfistyczny pogląd był później dla Różewicza powodem wielu tragicznych pomyłek i nieporozumień. Światopogląd warunkował nierealistyczne środki wyrazu. Ekspresjonistyczne, pełne makabry obrazy, smutna groteska, dowolnie kojarzone metafory — zaciążyły nad warsztatem twórczym Różewicza. Była to poezja nieraz głęboko przejmująca, ale w gruncie rzeczy przeznaczona dla mieszczańskiego czytelnika, chłonącego z zadowoleniem jej smaczki, dekadentyzm i poza - historyczny charakter. Były to przecież lata 1947 i 1948...

Niemniej już w pierwszych wierszach można było odczytać ich zasadę twórczą, z której poeta nie zrezygnował na przestrzeni całej swojej działalności poetyckiej. Jest to poezja faktu — kojarzenia obrazów pozbawionych komentarza. Siła lirycznego odziaływania w wierszach Różewicza polega na umiejętnym zestawieniu obserwacji. Przekonamy się za chwilę, czy metoda ta daje pozytywne rezultaty w poezji związanej z aktualną tematyką polityczną.

W trzeciej z kolei książce („Pięć poematów" — 1950 r.) znajdujemy już akcenty zainteresowania się światem ludzi żywych, pracujących i walczących znajdujemy jasne i mocne wiersze „Ballada o karabinie" i „Nie kładź mi rąk na sercu", poświęcone walce z imperializmem (pierwszy) i walce klasowej na wsi polskiej. W innych jednak utworach o tematyce współczesnej realia są zagmatwane, poeta zadowala się cytatem z prasy, kapitalizm przedstawia jako apokaliptyczną bestię, co — jak wiemy — jest antyrealistycznym, demobilizującym środkiem oddziaływania na czytelnika.

Równocześnie odzywa się samokrytyczny głos poety. Różewicz poddaje pod wątpliwość swą dotychczasową postawę twórczą, widzi nieprzydatność swej poezji dla robotnika, w stosunku do którego odczuwa albo inteligenckie onieśmielenie („Skąd smutek"), albo przedstawia go oczami kołtuna, wroga klasowego (satyryczny wiersz „Widzenie i trwoga spryciarza"). Wojna i jej zbrodniczość dalej trwają w poezji Różewicza jako niewyczerpany temat do pesymistycznych rozważań.

„Pięć poematów" otwierało dwie drogi rozwojowe, z których jedną poeta musiał wybrać: 1) droga nihilizmu i zupełnego oderwania się od rzeczywistości; 2) droga prowadząca do powiązania poezji z życiem społeczeństwa, do oczyszczenia jej z naleciałości nierealistycznych, z obcych nam ideowo elementów dekadentyzmu.

Wiersze z tomu „Czas który idzie" dostatecznie nas przekonują, że Różewicz wybrał drogę trafną i społecznie wartościową. Być może, że książka ta jest artystycznie uboższa od poprzednich, że jesteśmy świadkami pewnej rezygnacji z tak bardzo ambitnych założeń artystycznych jakie poeta dotąd sobie stawiał. Są to objawy, które muszą towarzyszyć krystalizowaniu się ideologii poety, który chce obecnie stanąć na jednej lini walki i pracy z budującym socjalizm społeczeństwem.

Różewicz sięga do problemów walki o pokój, budownictwa socjalistycznego i socjalistycznej moralności, jeden z najlepszych swych wierszy poświęca wojnie na Korei — zagadnienia te rozwiązuje naogół słusznie — czyli, że przełom został dokonany.

Poeta, dzięki wrodzonej mu szczerości artystycznej i prawdzie przeżycia umie dziś mówić o sprawach ogólnospołecznych przez pryzmat osobistego wzruszenia („W ciszy tak drogo okupionej", „Rozmowa z matką"). Jest to umiejętność niezwykle cenna, ponieważ wiersze te poruszając bardzo istotne problemy współczesności wolne są od błędów deklaratywności i frazesu, a przekonują swą artystyczną argumentacją podaną językiem skupionym i szczerym.

Krytyka własnej postawy poetyckiej trwa. Mówią o niej wiersze „Nie śmie" i „Wodzę oczami" — jakże jednak inaczej ją rozwiązując niż to miało miejsce w „Pięciu poematach"! Wtedy poeta bał się dotknąć włosów robotnicy — dziś mówi wprawdzie jeszcze:

„Stare wiersze opadają ze mnie
o nowych nie śmiem jeszcze
marzyć
o nowej poezji,
którą
można przeczuć
w chwili szczęśliwej"
(„Nie śmiem")

ale zaraz dodaje:

„Wrastam w życie
coraz głębiej i szerzej
— — — — — — — — — — — —
i mocniej kocham ziemię
deptaną ludzkimi stopami"
(„Wodzę oczami")

Rożewicz coraz skuteczniej wyzwala się ze swych obciążeń i oporów ideowych, nie porzucając jednak tego, co w jego dawnym warsztacie twórczym było naprawdę cenne i co może dobrze służyć nowym treściom. Poeta nie zaniechał metody „nagiego faktu"; w dalszym ciągu stara się zestrajać obserwacje i obrazy, chociaż nie zawsze daje to pomyślne wyniki. Mam tu na myśli wiersze „Wodospad", „Pejzaż", „Powrót z lasu", „Szedłem Nowym Światem" i podobne, będące tylko błahymi pejzażykami i nieraz (jak również w wypadku skądinąd ciekawego wiersza pt. „Troskliwość robotnicza o wspólne") przesadnie sprozaizowanymi. Natomiast w utworach o poważnej problematyce (np. „W ciszy tak drogo okupionej". „O maleństwie piosenka") Różewicz ożywia najlepsze tradycje swej poezji, poezji precyzyjnej obserwacji, głębokiego liryzmu, celnego obrazowania, poezji przemawiania tonem intymnym i szczerym. Oto przykład:

„Nad kolebką płacze
szczęśliwy
Głowę chowa
chłopisko w rękawy
wstyd
wielki
Taki czarny i groźny
i straszny
i bohater sławny
tak drży listek mały wierzbowy
tak się trzęsie żołnierz ogromny
radziecki
płowy
lew
(„O maleństwie piosenka")

Trudna i długotrwała droga rozwojowa Różewicza nie jest jeszcze zakończona. Niemniej stadium przełomowe poeta ma już za sobą. Dlatego wypada zająć pełne aprobaty i wiary stanowisko wobec słów poety z wiersza „Obietnica":

„Stworzę dla was obraz nowy
pożywny i pełen ciepła
— — — — — — — — — — — —
wy z twarzami w słońcu
dzieci moje." (c. d. n.)

Leszek Herdegen

1) Tadeusz Kubiak: „Ballady i pieśni", „Czytelnik" 1950, str. 08.
2) Witold Wirpsza: „Polemiki i pieśni", „Czytelnik", 1951, str. 45.
3) Tadeusz Różewicz: „Czas który idzie". „Czytelnik" 1951, str. 35.

MICHAŁ ISAKOWSKI

BOHATERSKA MATKA HISZPAŃSKA

Zgiełk niedawnej bitwy umilkł.
Praży słońce w martwej ciszy.
— Gdzieżeś, córko? Gdzieżeś, droga?
Szukam ciebie nadaremnie.

Czy nie słyszysz, jak cię wołam?
Czy nieszczęście cię spotkało?
Rzeknij słowo. Twoja matka
niesie wodę ci do picia.

Córka milczy, brak jej głosu.
Nie wybiega, aby witać
matkę, i z jej rąk nie bierze
wody czystej i źródlanej.

Na palącym znoju, głowę
ma jakby zasnęła twardo.
Zacisnęła w ręku strzelbę,
a piach sypki jest skrwawiony.

Potargana suknia barwna,
rozrzucony włos warkoczy,
a źrenice bardzo ciemne
spoglądają nieruchomo.

Matka oczy jej zamknęła,
obca słowom i rozpaczy.
Matka sama ją grzebała,
w cieniu zielonego krzaka.

Na mogile usypanej
położyła kamień szary,
ale pasmo włosów córki
zachowała i jej strzelbę.

Z bronią w ręku poszła z ludem.
który bliski był jak córka,
aby wspólnie bić faszystów,
aby razić wroga śmiercią.

Tak jej droga była wielka
sprawa i ojczysta ziemia
i wspomnienie tamtej wody,
której córka nie wypiła.

Szła, a serce niosło boleść,
lecz też gniewem nabrzmiewało.
Serce jej płakało, ale
była zemsty pieśń głośniejsza.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW

MARIAN WILK

Jeszcze o wierszach Henryka Gaworskiego

Krytyka literacka zwróciła już uwagę na Henryka Gaworskiego, młodego utalentowanego poetę, który różnorodnością zainteresowań poetyckich i świeżością ich ujęcia wyróżnia się spośród grupy najmłodszych, debiutujących w ostatnich latach. „Czytelnik“ niedawno wydał jego pierwszy zbiorek „Przed nami życie“. We wszystkich dotychczasowych recenzjach podkreślono wagę ambitnej próby podjęcia przez Gaworskiego rzadkiej jeszcze w naszej poezji współczesnej tematyki, obejmującej także lirykę miłosną, wyrażającej osobiste uczucia człowieka pracy, jego stosunek do przyrody, jego widzenie krajobrazu. Dlatego do zagadnień raz już poruszonych nie będziemy powracać; dorzucimy natomiast garstkę krytycznych uwag odnośnie oceny pewnych momentów w utworach młodego poety, oraz kilka uwag dotyczących niektórych na ogół częstych błędów Gaworskiego.

I

W tomiku Gaworskiego mamy tylko jeden utwór dotyczący bezpośrednio budownictwa socjalistycznego. Jest nim wiersz p.t. „Przy budowie“. Na podstawie tego można by przypuszczać, że Gaworskiemu lepiej odpowiada liryka „osobista“, wiersze „liryczno - wzruszeniowe“. Przypuszczenie takie nasuwa się po przeczytaniu całego zbiorku, w którym największa ilość wierszy należy właśnie do tego rodzaju. Czy z tego jednak należy wysnuć wniosek, że Gaworski powinien ograniczyć się jedynie do tego typu wierszy, że nie powinien ingerować także w inne dziedziny naszego bogatego życia, — jak to sugerowali niektórzy krytycy? Oczywiście, że nie. O ile wiersze posiadające charakter „kameralny“, „osobisty“ w swej realizacji artystycznej są bardziej udane od niektórych wierszy ściśle politycznych, to bynajmniej nie zobowiązuje młodego poety, by zrezygnował z tych ostatnich. To także nie zwalnia krytyka z obowiązku, by się bliżej zajął wierszami mniej udanymi, by pomógł poecie, ukazując na błędy wierszy ściśle „politycznych“.

Wiersz „Przy budowie“ jest chybiony zarówno ideologicznie, jak i artystycznie. Podejmuje w nim Gaworski opis pewnego odcinka budowlanego i zamiast realistycznego obrazu daje upstrzony biologicznymi, czasem wręcz naturalistycznymi elementami opis:

„Winda skowyczy,
jak złe psisko —
słońcu w twarz
strumieniem kurzu
rzyga,
na zwałach gruzu
kopaczka kły zaciska,
w żelaznym pysku
dwie
tony
ziemi
dźwiga“.

„Skowyczy“, „złe psisko“, „rzyga“, „kły zaciska“, „w żelaznym pysku“ — aż pięć przykładów błędów tego samego rodzaju w pierwszej zwrotce stanowczo razi. Nikt nie miałby nic przeciwko takiej animizacji windy i kopaczki w wierszu, który by tego wymagał, w utworze świadomie stylizowanym. Natomiast w wierszu, który ma stanowić realistyczny wycinek naszej rzeczywistości — to szkodzi, gdyż wypacza obraz rzeczywistości. Jest on dowodem braku pogłębionego stosunku do otaczającego poetę świata i braku rzetelnej obserwacji. I o tym przede wszystkim należy mówić, a nie o rzekomej zasadniczej niezdolności Gaworskiego do napisania dobrego wiersza politycznego. Wprawdzie nie chcemy tu przeprowadzać złośliwych analogii między stanowiskiem naszych krytyków, a pewnymi chwytami recenzenckimi obozu katolickiego, trudno jednak nie przypomnieć tu pouczającego incydentu na łódzkim zjeździe młodych polonistów, gdzie jeden z krytyków grupy „Dziś i jutro“ przeprowadzał tezę o istnieniu odrębnego nurtu „politycznego“ („bardzo sztampowego“) i nurtu „osobistego“ — („o wiele ciekawszego artystycznie“) w twórczości... Władysława Broniewskiego, nieszczęśnika, psującego swe wiersze „polityką“.

„Dwa nurty“ u Gaworskiego dostrzegł Jan Błoński („Życie Literackie“ Nr. 17); jeden nazwał „sielankowo - pejzażowym“, drugi zaś „wyróżnia się bezpośrednim zaangażowaniem politycznym“ i stanowi rodzaj politycznej publicystyki. Zastanówmy się, czy nie tkwi tu jednak zamaskowany błąd idealistycznego szufladkowania „osobistych“ i „politycznych“ wątków. Wydaje się niedorzecznością dopatrywać się w twórczości młodego poety przeciwstawnych sobie dwóch nurtów i równocześnie nazywać go poetą „współczesnym“, poetą, który pisze „socjalistycznie“ także o przyrodzie, miłości i wielu innych sprawach, dotychczas przez niektórych twórców omijanych. Wydaje się także rzeczą niemożliwą pisać o wszystkich tych rzeczach „socjalistycznie“ i równocześnie... „sielankowo“.

Poezja Gaworskiego nie rozpada się na dwa nurty; jest pozornie tylko rozdwojona. Tkwi w niej pewna nić ideowa łącząca zarówno utwory ściśle polityczne, jak i inne, nie zahaczające bezpośrednio o aktualne tematy chwili bieżącej. Nawet w takich wierszach jak „Spostrzeżenia“, „Chwila z dziewczyną“, „Dziecinnym głosem“, „Widzenie“ wyczuć można oddech naszej rzeczywistości. To, że Gaworski zaatakował sferę ludzkich uczuć i doznań wszechstronnie objawiającego się życia — miłość, uczucie zadowolenia i radości z dokonanej pracy, nowy stosunek do przyrody że ukazał to w subtelnym i pełnym prostoty kształcie artystycznego wzruszenia i bynajmniej nie fałszywej naiwności — należy uznać za pozytywną stronę jego liryki. Niektórych jego potknięć nie wolno absolutyzować, oskarżając go bez żadnych „okoliczności łagodzących“ o sielankę, cukierkowość czy hurraoptymizm. W większości wypadków młody poeta daje wyraźny dowód, że daleki jest od jakiejkolwiek idealizacji rzeczywistości, idylli, arkadyjskiego spokoju. W wierszach jego są elementy dynamizujące opis, refleksję, wzruszenie:

„Droga —
kreska brunatna
rozdziera lasu atłas.
Na drodze ślad traktora
w twardą glebę się worał“.
(„Droga“)

albo:

„W mym pięknym kraju
i w mieście moim
życie jest wiosną,
wiosna — pokojem.

W mym pięknym kraju
i w moim mieście,
ludzie pracują
walcząc o szczęście“.
(„Dziecinnym głosem“)

Połowiczna ocena twórczości młodego poety nie jest jedynie niewłaściwym załatwieniem się z nim, jego wierszami, próbą pomówienia go o rzeczy, jakich w jego wierszach nie ma — to zarazem dowód jak nie należy stosować starych szablonów krytyki do nowej socjalistycznej poezji; jest to również dowód niezwiązania się krytyka literackiego z dzisiejszą rzeczywistością, niedostrzegania tych podstawowych zmian, jakie dokonały się i jakie nadal dokonują się w psychice człowieka pracy. W życiu budowniczego naszej bezchmurnej przyszłości są surowe doświadczenia, smutki, troski, gorycz niepowodzenia, a są również chwile odpoczynku po ciężkiej pracy, najintymniejsze doznania, jest szczęście z odniesionego zwycięstwa w twórczych zmaganiach. I gdy się znajdzie odważny — na dodatek początkujący poeta — który próbuje się zmierzyć z tą trudną i odpowiedzialną tematyką, nie generalizujmy jego błędów. Lepiej będzie jeśli obierzemy inną drogę, odnajdziemy w jego twórczości owo „nowe“, to co wyróżnia jego wiersze od dawnych traktujących o tych samych sprawach właśnie sielankowo, właśnie naiwnie. Lepiej będzie jeżeli pomożemy młodemu poecie, wskazując na źródła jego błędów, sposób ich przezwyciężenia.

Tylko wiersze „Nastrój majowy“, „Prośba w kochaniu“, „Stara baśń“ i „Południe nad rzeką“ są pogrobowcami owej beztroski, nastroju wczasowego, kontemplacyjnego stosunku do przyrody, jaki spotykamy w utworach poetyckich pierwszych lat dwudziestolecia międzywojennego. W jednym ze swych artykułów Gorki pisał, że „poeci minionych czasów zachwycali się pięknem i darami przyrody jako rolnicy i właściciele ziemscy, jako „dzieci przyrody“, w istocie zaś jako jej niewolnicy...“ Gaworski w powyższych wierszach jest niewolnikiem nie tylko przyrody, ale również beztroskiego samozadowolenia. Dlaczego? — Utwory, o których mowa, napisane zostały w 1949 roku, kiedy Gaworski nie zajmował zdecydowanej postawy ideowo - politycznej; dziś już nie popełnia tego rodzaju błędów.

O ile owa prostota, ujmująca szczerość i bezpośredniość spotykana u Gaworskiego przypomina wiersze takich poetów radzieckich jak Issakowski, Szczypaczow, o tyle przed chwilą omówione błędy podszeptują nam inne powinowactwo — przypominają pewien typ wierszy Staffa. Zgadzamy się z nimi dopóki chodzi o realistyczny tok obrazowania, niefałszowany liryzm, ale tam, gdzie się zaczyna „niewolniczy“ stosunek do przyrody i ludzkich uczuć, tam gdzie poeta zaczyna mówić o „wiośnie, miłości i smutku“, „balsamie“ na „uraz serca“, o „śpiewce“, „ptakach uśpionych“, gdzie zaczyna używać rekwizytorskich efektów w rodzaju przymiotnika „cudowny“, metafory „aksamit spokoju“ itd. — tam już zgłaszamy sprzeciw, domagamy się od poety większej kontroli i krytycznego stosunku do przeszłości kulturalnej swej ojczyzny.

II.

Wśród utworów zawartych w tomiku „Przed nami życie“ wyróżnia się i zasługuje na szczególną uwagę poemat „Pieśni o pierwszym wieku“. Utwór ten składa się z siedmiu rozdziałów, z których każdy mógłby stanowić odrębną całość. Powiązane są one ze sobą dość luźno i trudno tutaj mówić o podstawowej koncepcji artystycznej, przenikającej utwór jako całość, wiążącej konsekwentnie wszystkie siedem rozdziałów. Autorowi chodziło o upoetyzowanie wielkiego szmatu dziejów, związanego z pojawieniem się partii proletariackiej, prowadzonej przez genialnych wodzów: Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Poeta skrótowo mówi o walce klasy robotniczej Polski i jej Partii z faszyzującą sanacją, z okupantem hitlerowskim, o walce o wykonanie planów produkcyjnych, walce klasowej na wsi itd. Autor dążył do rzutowania tego wszystkiego na szerszy ekran, uwzględniając walkę międzynarodowego proletariatu, historyczną rolę Października, Związku Radzieckiego jako państwa konsekwentnie walczącego o pokój, realizującego gigantyczne plany ujarzmienia przyrody. Utwór jako całość zawiera wiele momentów ciekawych; przekonywujących, o niebanalnym miąższu poetyckim. A co jest najważniejsze, i co jest klamrą wiążącą wszystkie utwory — to promieniująca duma z chlubnej przeszłości, nieugięta wiara w teraźniejszość i przyszłość.

W tym utworze, jak i w wielu innych, dał nam Gaworski kilkanaście krótkich zwrotek o mocnym ładunku emocjonalno - ideowym. W innych, nawet dłuższych wierszach, wyszedł obronną ręką, potrafił zapanować nad swoją wyobraźnią, tokiem kojarzeń, potrafił z dużą umiejętnością hierarchizować treści poetyckie swych utworów. W wierszu „Pieśni o pierwszym wieku“ dowiódł także, że umie przesycać zwrotki treścią o dużym ciężarze gatunkowym, że potrafi o wielkich i trudnych rzeczach mówić prosto, artystycznie przekonywująco i, co jest najważniejsze — lapidarnie:

„Wieku coś rozbłysł
w salwach „Aurory“
do szturmu idąc —
wyprostowałeś
plecy historii
smagane krzywdą“.

Nie znaczy to bynajmniej, że poeta zawsze potrafi znaleźć celny odpowiednik słowny dla swych myśli. Tak samo nie zawsze potrafi odróżnić rzeczy o dużej wadze od rzeczy mniej ważnych, czasem nawet drugorzędnych. Detal jest ważny — lecz trafny, celny detal. Zapominając o tym, ustawiając wszystko na jednej płaszczyźnie można bardzo łatwo dojść do ideologicznie fałszywych wniosków, z gruntu rzeczy błędnej retoryki:

„Nie łatwo serce
przenieść przez rozpacz,
przez ból przemycić.
Lecz wola rosła
i Partia rosła
dla walk i zwycięstw“.
(„Pieśni o pierwszym wieku“)

Ów szczegół z „rozpaczą“ wyda się powierzchownemu czytelnikowi związany z siłą,. o której Gaworski przez cały czas mówi, z proletariatem i jego strażą przednią — Partią. Czyżby Gaworski nie wiedział, iż rozpacz właściwa jest jedynie klasom odchodzącym, upadającym, że nie można jej ustawiać na tym samym poziomie co przewodniczkę mas ludowych? — Jest to poważny błąd ideowo - artystyczny, wynik ulegania urokom szczegółu, słabej kontroli w dobieraniu poszczególnych elementów zdania poetyckiego.

Jest jeszcze jedna groźba czatująca na Gaworskiego — tendencja do stylizacji na gawędę, którą kilkakrotnie spotykamy w zbiorku. Jest ona wyrazem dążenia do większej komunikatywności, do zwiększenia emocjonalnej siły wiersza. Niestety rezultat jest najczęściej odwrotny — zamiast spotęgować wyrazistość wiersza, prostotę wyrazu poetyckiego, osiąga się rozwodnienie, neutralizację doznanego wrażenia:

„Eh, wy —
wytworni politycy,
twórcy praw...“
(„Słowo o sobie“)

„Eh, wy“, „zaczepię“ z „Lojalności małżeńskiej“ i jeszcze kilka przykładów przeszkadza; w dodatku, to ustępstwo na rzecz łatwizny...

Ogólnie rzecz biorąc w wierszach młodego poety jest coś wzruszającego. To na pewno nie owa lekkość, czasem melodyjność, nadająca niektórym utworom swoisty wdzięk, ale to na pewno potencjalnie istniejący nurt ideowo - emocjonalny, który niby rzeka podskórna przepływa pod powierzchnią jego wierszy. Najczęściej pierwiastek ten jest stonowany; innym razem odnosi się wrażenie, że przesączony jest przez filtr czujności poetyckiej (Np. opisowe początki wielu wierszy). Bywają jednak wiersze, w których pierwiastek ten wytryska jak zdrój, niepowstrzymanie, a i z punktu widzenia logiki artystycznej utworu — niepotrzebnie i wtedy spokojna, opanowana retoryka nabiera rysów fałszywych, nieprzekonywujących. Nagły przypływ tego nurtu sprawia wrażenie podobne do tego z jakim obserwujemy mówcę, któremu entuzjastyczne przejęcie się tematem odbiera dar logicznego przemawiania. (Dla przykładu wymieńmy wiersz „Słowo o sobie“, w którym od słów: „Lecz nas karmiono wzgardą, wyzyskiem, krzywdą...“ mamy do czynienia z takim zjawiskiem).

Gdyby się bliżej przyjrzeć zagadnieniom formalnym debiutu Gaworskiego doszlibyśmy do wniosku, że układ poetycki jego utworów nie jest rozluźniony, anarchiczny; doszlibyśmy do wniosku, że jest w nim umiarkowanie obrazowania, że poszczególne elementy jego wiersza na ogół podporządkowane są całości. Co prawda nie zawsze mamy tutaj do czynienia z rozrastaniem się jednego obrazu w poszczególnych zwrotkach. Jest kilka obrazów luźnie skojarzonych tą samą ideą poetycką („Spostrzeżenia“, „Wieczór“, „Droga“, „Dziecinnym głosem“). Przypominamy o tych rzeczach pozytywnych i cennych, by zasygnalizować moment groźny — owe wybuchy retoryczne, burzące właśnie ten logiczny układ i przejrzystość wierszy Gaworskiego. Z tym związana jest inna sprawa także natury formalnej: Gaworski w krótszych utworach liryczno - wzruszeniowych posługuje się regularną budową wiersza; gdy natomiast chce przejść do szerszego już, udramatyzowanego przedstawienia pewnego odcinka rzeczywistości lub historii staje przed poważnymi trudnościami, zaczyna używać swobodnej frazy wolnego wiersza i tutaj mu się zdarzają często poważne potknięcia artystyczne: rytm jego wolnego wiersza nie wytwarza złudzenia czegoś koniecznego, niezastąpionego — wydaje się sztuczny. Gdyby takie wiersze („Pięści pokoju“, „Przy budowie“, „Słowo o sobie“) obedrzeć z kilku metafor, porównań, epitetów — od mowy potocznej różniłby je tylko układ graficzny. Tak samo niepokój budzą dziwaczne metafory w rodzaju „Spadochronu obłoków“, „Wodopój zmierzchu“ i in.

W zbiorku Gaworskiego przeważająca ilość wierszy jest dobra i choć jest jeszcze sporo niezadowalających, ogólna ocena wypadnie jednak na korzyść młodego poety.

Chociaż ze zbiorku wyłaniają się już śmiało kontury indywidualności poetyckiej Gaworskiego, powinien on jednak dalej dopracowywać się własnego wyrazu poetyckiego, powinien uczyć się rzemiosła artystycznego. Niewątpliwie winien też rozszerzyć wachlarz swoich zainteresowań o tematy „produkcyjne“ o tony epickie, przekazujące obraz człowieka przetwarzającego rzeczywistość.

Marian Wilk



Pierwszy kombajn węglowy produkcji polskiej w kop. Zabrze - Zachód. Foto WAF

Z prasy radzieckiej

Czytelnicy o literaturze dla dzieci

Maksym Gorki opublikował w roku 1931 część listów, otrzymanych od dzieci. Na marginesie tej osobliwej korespondencji wielki pisarz zauważył: „Bardzo dużo dzieci pisze do mnie. Dumny jestem z tego i uważam, że mam prawo być dumny. Wiem, że nie jestem jedynym literatem w Związku Radzieckim i jestem przekonany, że inni cieszą się niemniejszym szacunkiem dzieci. Ale jeszcze bardziej jestem przekonany, że w krajach burżuazyjnych nie ma pisarzy, którzy cieszyliby się takim szacunkiem i sympatią dzieci, jakim darzą nas, radzieckich pisarzy, radzieckie dzieci. Tam nie ma takich pisarzy i nie może ich być, bo tam nie ma jeszcze dzieci zrodzonych przez rewolucję socjalistyczną“. Gorki na dowód swej tezy przytacza przykład możliwy jedynie w Związku: list zbiorczy, zobowiązanie delegatów na pierwszy wszechzwiązkowy zjazd korespondentów (!) dziecięcych, żeby dostarczać pismu „Nasze osiągnięcia“ materiały o udziale dzieci w budowie i wypełnieniu pięciolatki w ciągu czterech lat.

Udział pisarza i udział dziecka w realizacji dzieła socjalizmu — oto co w Kraju Rad związało książkę „poważną“ z nowym dziecięcym czytelnikiem. Dzieci radzieckie czytają pisarzy i odnoszą się z wielką miłością do twórców, którzy umieją dać żywe obrazy bliskiego im życia. Dlatego literatura dla dzieci to temat „poważny“ — wychowanie kadr przyszłych czytelników.

Ten temat nie schodzi ze szpalt radzieckich dyskusji. Gorki był pierwszym pisarzem radzieckim, który pobudził zainteresowania kolegów po piórze: ułożył antologię dziecięcą „Choinka“, stworzył podwaliny wydawnictwa „Dietgiz“, znanego obecnie szeroko i w Związku i poza jego granicami.

Od czasu Gorkiego literatura dla dzieci ma olbrzymie osiągnięcia, zdobycze, wyrażające się w milionach egzemplarzach książek i dziesiątkach milionów czytelników. Są pisarze, jak Marszak, Michałkow, Barto, których sława wyrosła przede wszystkim z uznania dziecięcych czytelników.

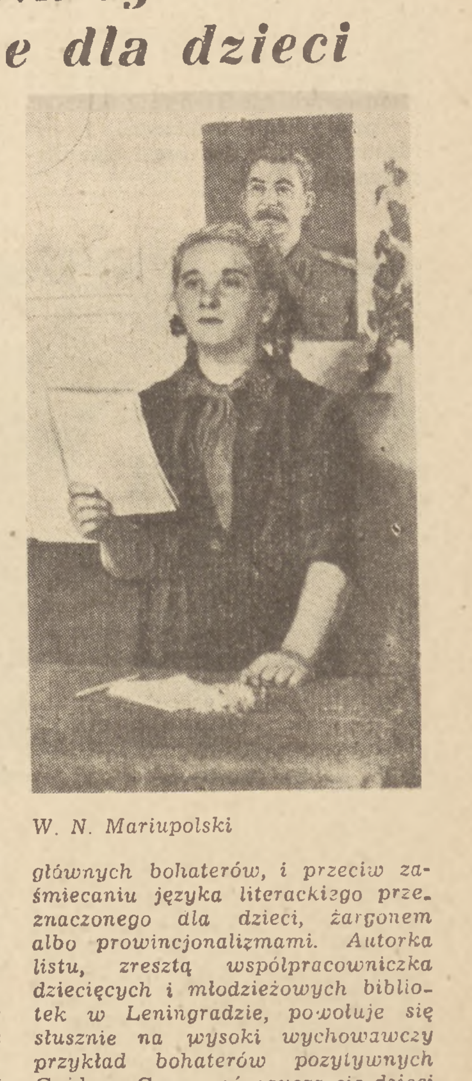
Tym „poważniej“ traktuje czytelnik radziecki literaturę dla dzieci, tym większą darzy ją troskliwością i zainteresowaniem. Poziom literatury dla dzieci, jej drogi rozwoju — oto zasadnicza treść wielu dyskusji radzieckich.

Ostatnio najnowszy numer miesięcznika „Nowyj Mir“ w dziale pt. „Trybuna czytelnika“ opublikował listy czytelników radzieckich na temat literatury dla dzieci. Wypowiedź tę trzeba uznać jako znamienną, ponieważ głos zabrali i dorośli i młodzież szkolna, a przede wszystkim czytelnicy o różnych zawodach z najrozmaitszych miast i miejscowości ZSRR.

Autor listu pt. „Dobry upominek dla dzieci“ omawia zalety treściowe i wydawnicze zbioru wierszy Pawła Tyczyny „Wyszyjemy Stalinowi portret“. Mówi zupełnie słusznie: „O książkach dla dzieci w wieku przedszkolnym należy mówić tak samo poważnie jak i o powieściach dla dorosłych“. Czytelnik przypomina nie nową prawdę, że dzieci czują prawdziwą miłość do siebie i natychmiast na nią reagują. Ta miłość — to i treść książki i jej forma. „Prawdziwa“ oprawa, „prawdziwy“ wygląd książki, dobry papier, pięknie dobrane ilustracje, staranność w robocie — to wszystko uczy poważnego traktowania książki, wprowadza dzieci w świat czytelnictwa. Autor listu przestrzega przed niedbałością w zakresie wydawniczym i podkreśla, że krytycy przy ocenianiu literatury dla dzieci powinni także oceniać jej wartość, że tak powiem, wydawniczo-formalną. Pięknie, „na serio“ wydana książka „jak dla dorosłych“ uczy miłości literatury już u progu życia.

Inny czytelnik w liście pt. „Niewybredni poeci“ omawia plon poetycki, opublikowany w roku 1950 przez znane pismo dla dzieci „Murzilka“. Na przykładzie złych i dobrych wierszy czytelnik udowadnia, że dla dzieci należy pisać tak samo jak dla dorosłych, tylko że lepiej. Nawiązując do wystąpienia Nadieżdy Krupskiej przeciw tendencji infantylizmu w literaturze dla dzieci, czytelnik ów żąda od pisarzy „dokumentacji“ utworu, to jest pełnej znajomości sprawy, o której się pisze. „Dzieci — pisze — czujnie czytają wiersze i przeprowadzają szczegółowy rozbiór utworu, chcąc dowiedzieć się co jest „wewnątrz“ i co „do czego służy“. Zupełnie jak z zabawkami“. Dlatego poeta powinien mieć pełną życiową znajomość sprawy, o której pisze, i powinien umieć przekazać tę treść w bezwzględnie wzorowej formie. „Poeta — stwierdza krytyk-czytelnik — nie może poprzestać na wrodzonym talencie, lecz musi umieć gospodarować swym uzdolnieniem, musi dążyć do tego, by po robocie poznano mistrza. Poeta powinien troszczyć się o to, żeby utwory jego tak w całości, jak w każdym szczególe — w każdym wierszu, w każdym zdaniu, w każdym słowie — miały pełny wyraz artystyczny, pełną wartość, a pozbawione były sztuczności i językowych nieścisłości“.

List pod tytułem „Dwa ważne problemy“ protestuje przeciw temu, by z negatywnych postaci robiono



W. N. Mariupolski

głównych bohaterów, i przeciw zaśmiecaniu języka literackiego przeznaczonego dla dzieci, żargonem albo prowincjonalizmami. Autorka listu, zresztą współpracowniczka dziecięcych i młodzieżowych bibliotek w Leningradzie, powołuje się słusznie na wysoki wychowawczy przykład bohaterów pozytywnych Gajdara. Czego zaś nauczą się dzieci od typów negatywnych? Oczywiście atuor powinien je ukazać, ale po to, by przedstawić proces wykorzenienia wad. W planie drugorzędnych i trzeciorzędnych postaci taki proces ma miejsce bez szkody dla umysłu czytelnika. Ale na pierwszym, czołowym miejscu? W dziele artystycznym czołowy bohater skupia na sobie uwagę czytelnika i wymaga największego bogactwa charakterystyki, jest barwny, sugestywny. „Ale — zauważa słusznie autorka — jeśli jest to bohater negatywny, to skupiając na sobie całe bogactwo barw, jakimi rozporządza paleta artysty, bohater taki odbiera te barwy postaciom dodatnim a drugorzędnym“. Gdzież więc jest tu przykład pedagogiczny? Czy postać negatywna może być głównym bohaterem w dziele realizmu socjalistycznego? — zapytuje autorka listu i udowadnia, że jest to niewłaściwe i w stosunku do dzieci niewychowawcze. Gdyż „młody czytelnik wierzy w realność literackiego obrazu i jeśli bohater literacki jest mu bliski, to czytelnik usiłuje go naśladować, być takim samym“.

Drugi problem — walka o czystość języka. W literaturze dla dzieci język gra szczególną rolę: wzbogaca słownictwo dziecka, pobudza proces myśli. Czy zatem autor ma prawo „dawać zeszpeconą mowę, żargon, język, zaśmiecony prowincjonalizmami albo wulgarnymi słowami i słówkami?“ Czytelnik radziecki uważa, że zeszpecony język stanowi smutne dziedzictwo przeszłości, z którym należy walczyć. Zeszpecony język nie wzbogaca kultury dziecka. „Nie naturalistyczne naśladowanie żargonu — czytamy w liście — stwarza artystyczny obraz, ale odtworzenie wewnętrznych przeżyć bohatera, jego stosunku do otaczającego życia, jego dążności i celów. Od wewnętrznej treści do zewnętrznej formy i do językowej charakterystyki bohatera — oto właściwa droga“, konstatuje autorka listu.

Inny czytelnik wypowiada się na temat aktualności utworów dla dzieci, uważa, że literatura dziecięca wlecze się w ogonie politycznych wypadków i w kraju i zagranicą. Dlatego żąda spopularyzowania w utworach dla dzieci m. in. zagadnień wielkich budowli komunizmu.

Autor listu „Szkoły czekają...“ utyskuje na brak repertuaru dla teatrów szkolnych, zachęca literatów, aby więcej pisali dla sceny szkolnej.

Ciekawy jest list p.t. „O naukowej fantazji“. Dowiadujemy się z niego, że tematy fantastyczne, lecz oparte o podstawy naukowe cieszą się w literaturze radzieckiej niesłychaną poczytnością. Nakłady w 100 i 75 tysiącach egzemplarzy rozchodzą się dosłownie w ciągu kilku godzin. Autor listu proponuje zaopatrywanie dzieł literatury dla dzieci o tematyce naukowo-fantastycznej w odpowiednie rysunki, także w ścisły artykuł naukowy na dany temat oraz komentarze. Rady słuszne, godne uznania i na naszym terenie.

„Jestem żołnierzem Armii Czerwonej, szeregowym czytelnikiem“ — tak rozpoczyna się „szary“ list z koszar. „Szary“, ale jakże ciekawy. Mówi o właściwym przedstawieniu roli ludu w bylinach... Podobnie wypowiada się autor poprzedniego listu na temat ludowych bajek rosyjskich. Byliny i bajki to skarbnica rosyjskiej twórczości ludowej. Czerpią z tej skarbnicy wydawnictwa, czerpią i pisarze, przerabiając wątki ludowe na użytek dzieci. Ale w każdym wypadku — stwierdzają autorzy listów — należy pamiętać o tym, by we właściwym świetle ukazać historyczną rolę ludu, jego walkę z uciskiem książąt, jego dążenie ku lepszej przyszłości, mądrość i bogactwo duchowe. Dopiero wydobycie tego rewolucyjnego nurtu z twórczości ludowej spełni wobec dzieci rolę wychowawczą.

Grzegorz Timofiejew

STANISŁAW CIEŚLAK

WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Gdy omawiamy tegoroczną jesienną akcję mającą na celu usprawnienia obrotów towarowych i finansowych między miastem a wsią trzeba wyraźnie dostrzegać i odróżniać jej cele doraźne i cele długofalowe.



Foto WAF

Walka o usprawnienie planowego skupu zbóż i żywca, o realizację należności podatkowych i finansowych wsi jaka się obecnie toczy z rosnącym napięciem w całej Polsce — nie ma tylko i wyłącznie na celu (jak się to wielu ludziom wydaje) przezwyciężenia trudności jakie się wyłoniły w naszej gospodarce w toku wykonywania zadań drugiego roku Planu 6-letniego.

Wykonanie zadań nakreślonych dla tej jesiennej akcji w wyniku swym przyniesie niewątpliwie zwiększenie podaży ziemiopłodów ze strony rolnictwa, co wraz ze wzrostem produkcji i wydajności pracy, (o które w przemyśle, budownictwie i komunikacji zwycięsko walczy klasa robotnicza) przyczyni się z pewnością do zgłoszenia odczuwanych przez kraj nasz trudności. Trudności, które można przecież przełamać jedynie na drodze zwiększenia produkcji i podaży, a nie na drodze jakiegokolwiek mechanicznego ograniczenia siły nabywczej ludności przez zwolnienie tempa realizacji naszego programu inwestycyjnego, który daje tak szybki wzrost zatrudnienia i funduszu płac i zwiększa z dnia na dzień siłę nabywczą ludności.

W całej jednak tej akcji z ogromną wyrazistością zarysowują się również i dwie inne sprawy.

Pierwszą z nich jest wyraźna troska władzy ludowej o dalsze zwiększenie możliwości inwestycyjnych i konsumcyjnych drobnych i średnich gospodarstw chłopskich przez zwiększenie ich towarowości i przez rozszerzenie ich udziału na rynku, na którym obowiązują ustabilizowane i korzystne dla rolnika ceny.

Suma pieniędzy płynących na wieś z tytułu jej należności za dostarczone zboża, żywiec, ziemniaki itp. kilkakrotnie przewyższa sumy płynące ze wsi z tytułu podatku gruntowego FOR-u, składek ubezpieczeniowych, pożyczki narodowej i kredytów bankowych. Mało i średniorolni chłopi po zakończeniu tej akcji posiadać będą więcej gotówki niż przed jej rozpoczęciem.



Foto WAF

I dlatego też nie jest wcale przypadkiem, ale wyciągnięciem logicznych wniosków z istniejącej sytuacji, fakt, że ta jesienna akcja zbiega się z walką o usprawnienie całego uspołecznionego aparatu zaopatrzenia wsi, zarówno w dziedzinie hurtu jak i w detalu, aby aparat ten był w stanie i pod względem ilości, jak i jakości oraz asortymentu rzucanych na wieś towarów, zaspokoić rosnącą stale siłę nabywczą wsi.

Warto przy tym zwrócić uwagę na bezzasadność i płytkość argumentów wysuwanych głównie przez ludzi ulegających propagandzie elementów spekulacyjnych jakoby stałe rozszerzanie kontraktacji planowego skupu pozbawiało chłopów tych „korzyści", jakie mogliby uzyskać biorąc udział w obrotach czarnorynkowych, sprzedając swe ziemiopłody i artykuły hodowli po cenach odbiegających w górę od cen państwowych.

O „korzyściach" wolnego od ingerencji państwowej rynku przekonali się chłopi gruntownie w latach 1918—1939, kiedy to w rezultacie „swobodnej" i „wolnej" gry sił na rynku, prawie 75 proc. chłopów mało i średniorolnych zostało zepchniętych do poziomu gospodarki samozaopatrzeniowej.

Wiadomą jest również rzeczą, że w polityce cen nie ma żadnych cudów, że globalna suma kosztów produkcji towarów wytwarzanych przez nasze gospodarstwo narodowe nie może odbiegać od sum ich cen, choć możliwe są pewne przesunięcia w jedną i drugą stronę (tak np. państwo w trosce o sytuację biedoty wiejskiej świadomie sprzedaje cały szereg towarów, jak np. nawozy sztuczne czy obuwie po cenach niższych od ceny kosztów własnych). Ale nie ma takiej gospodarki, w której gwałtowna i chaotyczna zwyżka cen rolniczych nie pociągnęłaby za sobą zwyżki cen artykułów przemysłowych.



Foto WAF

Dlatego też wszelka pobłażliwość w stosunku do czarnego rynku przyniosłaby korzyści jedynie spekulantom, godząc i bezpośrednio i pośrednio w interesy mało i średniorolnych chłopów, tym więcej, że przecież problematyczne korzyści odnoszone ze sprzedaży na czarnym rynku są faktycznie dostępne jedynie dla chłopów mieszkających w pobliżu wielkich miast, wielkich rynków zbytu, wokół których oplata się głównie działalność spekulancka. Osłabienie ingerencji państwa na rynku, najmniejsze poderwanie planowego skupu byłoby strasznym ciosem dla przeważającej większości chłopów.

Nasz handel uspołeczniony, nie pracuje i nie może pracować bezinteresownie i musi przynosić gospodarstwu narodowemu planowe zyski, ale jest wielkim nieporozumieniem przypuszczenie, że np. ściąganie nadwyżek towarowych z woj. rzeszowskiego, białostockiego czy koszalińskiego i zaopatrywanie ich ludności w artykuły przemysłowe po tych samych cenach co w ośrodkach ich produkcji przynosi ogromne zyski. Państwo ludowe, handel socjalistyczny niejednokrotnie dopłaca do takich operacji w trosce o wyrównanie zacofania gospodarczego i kulturalnego tych ziem peryferyjnie położonych od głównych w Polsce rynków zbytu, a tak upośledzonych i wyzyskiwanych w czasach kapitalistycznych, w trosce o uczynienie z planowego handlu koła napędzającego produkcję w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich.

Rozumieją to dobrze sami chłopi i na zebraniach swych domagają się właśnie umocnienia planowego oddziaływania państwa ludowego na rynku i dalszego rozwoju i usprawnienia uspołecznionego, a nie prywatnego handlu.

Drugą sprawą przebijającą z tegorocznej akcji jesiennej jest coraz wyraźniej rysująca się konieczność umocnienia **planowych** stosunków ekonomicznych między miastem i wsią, przemysłem a rolnictwem, klasą robotniczą a pracującym chłopstwem. Planowa jednak gospodarka polega na przestrzeganiu w produkcji i podaży nie tylko ilości, nie tylko jakości i asortymentu ale również **terminów.** Nowością tegorocznej akcji jesiennej, która z pewnością już na stałe pozostanie dorobkiem naszej gospodarki, jest zwrócenie bacznej uwagi na przestrzeganie terminów w podaży artykułów rolnych i uiszczeniu należności finansowych. W toku jesiennej akcji wiele gmin i powiatów zaczęło pracować już nie tylko z miesięcznym, ale nawet z dekadowym planem w ręku. Ta cenna zdobycz, która powinna być upowszechniona w całym kraju, a którą wynosimy z tegorocznej akcji jesiennej będzie miała duże znaczenie dla jeszcze bliższego powiązania pracy naszego przemysłu (pracującego rytmicznie z coraz mniejszą ilością zrywów) z pracą naszego rolnictwa.

W warunkach kapitalistycznych nieregularność podaży i niepewność w dotrzymywaniu terminów podaży ze strony wsi wyrządzała wiele strat całej gospodarce, zmuszała do nadmiernych a zbędnych wydatków na magazynowanie płodów rolnych, przyczyniała się do nadmiernego przeciążania transportu (słynne przedwojenne jesienne „szczyty" przewozów kolejowych, kiedy to w ciągu nieraz kilku tygodni trzeba było przewieźć miliony ton buraków, ziemniaków, zbóż itp.) oraz wprowadzała zamieszanie w zaopatrzeniu wsi, która w IV kwartale realizowała z reguły trzy czwarte swego całorocznego zapotrzebowania na artykuły przemysłowe.

Otóż te dwie sprawy: walka o dalsze zwiększenie towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, oraz dążenie do bardziej równomiernego (w określonych i ściśle dotrzymywanych terminach, dostosowanych do potrzeb gospodarki narodowej jako całości) **rozłożenia w czasie** podaży płodów rolnych i świadczeń finansowych wsi — nie stracą nic na swej aktualności i pilności nawet i po zakończeniu obecnej akcji jesiennej.

Stanislaw Cieślak

WOJCIECH SZMIDT

Z frontu walki o wzrost hodowli

Najważniejszymi dostawcami i producentami żywca i produktów zwierzęcych na rynek, są dziś PGR-y, ale tylko jeżeli chodzi o rozmiary produkcji towarowej na hektar posiadanej ziemi. Gospodarstwa drobne nigdy nie dają tak wysokiej towarowości, jaką może stworzyć gospodarstwo wielkie, czy to państwowe, czy też spółdzielcze. Gospodarstwo drobne nie ma bowiem tych wszystkich możliwości jakie stoją do dyspozycji wielkiego organizmu gospodarczego. Jeżeli spółdzielnie produkcyjne, do tej pory nie dawały spodziewanej towarowości w dziedzinie produkcji zwierzęcej, to przyczyna tego leżała w niedorozwoju hodowli w stosunku do produkcji roślinnej.

Analiza osiągniętych w roku 1950 przez spółdzielnie produkcyjne w Polsce dochodów wykazuje, że 72,9 proc. dochodów wszystkich spółdzielni produkcyjnych w roku 1950 dała produkcja roślinna, 26 proc. przypadało na dochód z produkcji zwierzęcej a 11 proc. to dochód z przedsiębiorstw pomocniczych.

Organizacja każdego nowego gospodarstwa zaczyna się od produkcji roślinnej — a więc najpierw spółdzielnia musi myśleć o zasiewach, o pielęgnacji upraw, o sprzęcie. Musi nastawić całą produkcję roślinną w zupełnie nowych warunkach I to zarówno nowych pod względem wymiarów gospodarki, jak i nowych pod względem typu gleby w poszczególnych polach, nowych warunkach co do sposobu uprawy, organizacji pracy i wielu innych. Po prostu, nadmiar nowości, który trzeba opanować stopniowo. Trzeba się wdrożyć w nowy tryb życia w nieznanych dotąd warunkach. Wszystko to powoduje ten stan, że najpierw zaczyna się od zagadnień podstawowych, a więc od produkcji roślinnej. Dopiero, gdy ta jest już w głównym schemacie zorganizowana, można myśleć o produkcji zwierzęcej, o hodowli.

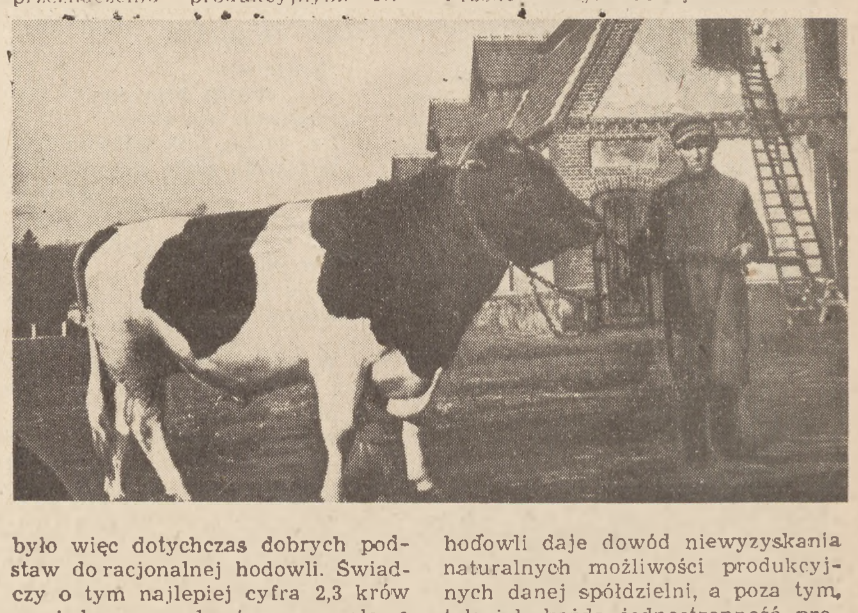
W pierwszym okresie pracy spółdzielni produkcyjnych dość często występuje niezrozumienie przez członków znaczenia zespołowej hodowli, a co za tym idzie intensywne rozwijanie hodowli na działkach przyzagrodowych z uszczerbkiem dla hodowli spółdzielczej.

Kluczem tłumaczącym to zjawisko może być ciekawe zestawienie. Jeżeli ogólną ilość posiadanych przez spółdzielnię zwierząt podzielimy na dwie grupy, zwierzęta będące własnością spółdzielni i zwierzęta należące do członków, to zobaczymy, że na dzień 31.III. 1950 — 80 proc. wszystkich krów było własnością członków, na 31. XII. 1950 — 78,8 proc. wszystkich krów było własnością członków, na 31. VI. 1951 — 70,0 proc. wszystkich krów było własnością członków. Analogiczne stosunki przy świniach według tych samych dat, przedstawiają się następująca: 88,6 proc., 90,0 proc., i 76,3 proc. Podobnie jest i z owcami.

Co mówią nam te cyfry? W sensie statystycznym dowodzą one kolosalnej przewagi hodowli na działkach przyzagrodowych w stosunku do hodowli zespołowej. W sensie dynamicznym, dowodzą one pozytywnego już faktu, że w roku bieżącym przesunięcia w hodowli na korzyść gospodarki zespołowej zaczynają się dokonywać. A tego nie było zupełnie w roku ubiegłym.

Przenieśmy to zjawisko na szerszą platformę. Oznacza ono, że gospodarstwa zespołowe zaczynają się umacniać gospodarczo i organizacyjnie, że w roku 1951 żaczynają już poważnie myśleć o hodowli. Przełomowym na tym odcinku momentem była uchwała Biura Politycznego KC PZPR w sprawie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej, podjęta w połowie grudnia ub. roku. Przedłużeniem tej uchwały, jej szczegółową odmianą, jest podjęta ostatnio przez Prezydium Rządu uchwała w sprawie rozwoju hodowli w spółdzielniach produkcyjnych.

Wiele spółdzielni zaczynało gospodarkę albo w ogóle bez inwentarza żywego, albo też z trzema czy czterema krowami i to przeważnie chudymi, mało wydajnymi, o niejednolitej rasie, o różnym przeznaczeniu produkcyjnym. Nie było więc dotychczas dobrych podstaw do racjonalnej hodowli. Świadczy o tym najlepiej cyfra 2,3 krów na jedno gospodarstwo zespołowe wniesionych rzeczywiście przez członków do spółdzielni w roku 1950. Płynie stąd prosty wniosek. Te wkłady inwentarzowe ważne i nie do pogardzenia nie mogły jednak rozwiązać zagadnienia. Nie tylko z racji swojej szczupłości, ale także z racji swojej niejednolitości rasowej i produkcyjnej. Wyjście więc tkwiło gdzieindziej. Spółdzielnia musi zakupić odpowiednie sztuki, aby rozpocząć prawidłową, racjonalną hodowlę, dążąc do wychowania własnego stada podstawowego. Wszyscy dobrze wiemy, że pełny obrót w hodowli zwierząt to nie jest okres jednego roku, jak w produkcji roślinnej; jest to okres przynajmniej czterech lat przy bydle, a półtoraroczny przy trzodzie chlewnej. A założenie racjonalnej hodowli, to posiadanie odpowiednio przystosowanych pomieszczeń, bazy paszowej, wykwalifikowanych kadr.



Należy więc spółdzielniom w skali ogólnokrajowej zapewnić jak najkorzystniejsze warunki rozwoju hodowli. Uwzględniając doświadczenia w dziedzinie hodowli takich spółdzielni jak: Nieczajna Kania, Psarskie, Marszowice, czy Wilamowa, Prezydium Rządu położyło nacisk na następujące problemy zasadnicze:

1. Ustalenie minimalnego pogłowia zwierząt, do którego każda spółdzielnia produkcyjna powinna dążyć już w pierwszym roku gospodarki zespołowej. Oczywiście to minimum zależeć będzie od powierzchni spółdzielni i skalkulowane jest dla warunków najmniej korzystnych. Np. przy obszarze do 100 ha użytków rolnych zaleca się spółdzielniom, aby posiadały po pierwszym roku gospodarki zespołowej: 10 krów, 5 macior i 10 owiec. Przy obszarze od 100 do 200 ha: 18 krów, 9 macior, 18 owiec itd.

Określenie minimum, to przede wszystkim czynnik mobilizujący szerokie rzesze członków spółdzielni wokół zagadnienia hodowli.

2. Na pytania: skąd brać zwierzęta na hodowlę i skąd pokrywać wydatki na ich zakup? — uchława Prezydium Rządu wskazuje na konieczność realizacji wkładów członkowskich, na otoczenie większą troską przychówku własnego, na celowość kontraktacji jałówek u członków spółdzielni lub też u mało i średniorolnych chłopów i wreszcie na zakup poza spółdzielnią. Środki własne na zakup będą uzupełniane sumami z kredytów państwowych udzielanych na niezwykle korzystnych warunkach.

3. Uchwała Prezydium Rządu zwraca uwagę na konieczność energicznego zwalczania deficytu pasz przez odpowiednie płodozmiany, kiszonki, budowę silosów. Ale przede wszystkim przez szerokie stosowanie kiszonek, jako jednej z najtańszych a niewyzyskanych wciąż jeszcze możliwości posiadania wysokobiałkowej paszy w zimie.

4. Żeby hodować trzeba nie tylko mieć zwierzęta nie tylko trzeba je żywić, ale należy im stworzyć odpowiednie warunki bytowe, a to już sprawa budownictwa. Dlatego też uchwała przyznaje spółdzielniom dogodne kredyty na budowę pomieszczeń inwentarskich, zachęcając przy tym do wykorzystania przez spółdzielnie miejscowych materiałów budowlanych takich jak piasek, żwir, glina, kamień polny itp. oraz wykorzystania własnej robocizny niefachowej członków.

5. Kadry przecież decydują o wszystkim. Zapowiedziane szkolenie brygadierów, członków brygad hodowlanych, przyczyni się nie tylko do zwiększenia produktywności hodowli, ale pozwoli także na polepszenie pielęgnacji zwierząt, na stosowanie nowoczesnych metod skarmiania. Przyczyni się do tego, że nauka rzeczywiście będzie służyć życiu w najszerszej mierze.

6. Nie jest również rzeczą obojętną, jaką hodowlą zajmie się spółdzielnia produkcyjna. Daje się bowiem gdzieniegdzie zauważyć zjawisko pewnej jednostronności. Np. spółdzielnie hodują tylko krowy o wybitnie mlecznym nastawieniu. Fermy trzody chlewnej i fermy owiec występują jeszcze stosunkowo rzadko. Zjawisko z punktu widzenia rolniczego i ogólnopaństwowego wręcz szkodliwe. Przede wszystkim jednostronność hodowli daje dowód niewyzyskania naturalnych możliwości produkcyjnych danej spółdzielni, a poza tym, tak jak każda jednostronność prowadzi do wynaturzeń w rodzaju amerykańskich monokultur, gdzie jak się hoduje np. merynosy, to już nic więcej. Spółdzielnia musi zerwać z przeżytkami tych kapitalistycznych, koniukturalnych pozostałości w rolnictwie. Wszelka jednostronność prowadzi do kalectwa gospodarczego. Monokultura to wynaturzenie rolnicze.

Dlatego też rozwój hodowli **musi być wszechstronny.** To znaczy, że gdy spółdzielnia posiada już fermę bydła, powinna założyć fermę trzody chlewnej, a gdy te dwie są już zorganizowane, powinno się pomyśleć o założeniu fermy owiec.

Nie można jednak zagadnienia sprowadzać do absurdu i tworzyć monstrum w przeciwnym kierunku, to jest zakładać różnorodne fermy hodowlane, zupełnie abstrahując od istniejących warunków, od możliwości produkcyjnych itd. Rzecz prosta, że tam, gdzie do hodowli owiec mamy warunki wybitnie niesprzyjające nie będziemy ich hodować. Ale rzadko kiedy tak się zdarza, żeby np. jakiekolwiek gospodarstwo nie miało odpowiednich warunków do hodowli trzody chlewnej. Trzeba tylko zwrócić uwagę na jeden szczegół. Na typ hodowli. O ile do dziś dnia przeważa u nas w bydle hodowla mleczna, to porządane byłyby pewne przesunięcia w kierunku mięsnym, zwłaszcza zaś w spółdzielniach produkcyjnych. Tak samo jest z trzodą. Przewaga typu słoninowego w całym kraju jest ogromna w stosunku do opasów o typie tłuszczowo-mięsnym. A więc reasumując. Hodowla musi być wszechstronna, muszą być wyzyskane wszystkie możliwości produkcyjne spółdzielni i należy dobrze zastanowić się nad tym, czy typ mięsny nie znalazłby zastosowania w danym gospodarstwie zespołowym.

To jeszcze nie wszystko. O ile spółdzielnia posiada tylko dostateczną ilość ludzi do pracy — to już jest spełniony pierwszy warunek do założenia **zespołowej hodowli drobiu**, której podstawowym czynnikiem jest masowość. Ta dziedzina również niedoceniana domaga się szybkiego rozwiązania.

Uchwała Prezydium Rządu ma olbrzymie znaczenie dla dalszego gospodarczego i politycznego umocnienia ruchu spółdzielczości produkcyjnej w Polsce.

Wróg klasowy żeruje bowiem na słabości gospodarczej spółdzielni i czyha na nią. Może ją wówczas nie tylko rozsadzić od wewnątrz, ale także może niedopuścić do powstania nowych spółdzielni produkcyjnych w okolicy. Słabość gospodarcza przejawia się między innymi w niskiej dniówce obrachunkowej. Oto argument kułacki: jeżeli masz niską dniówkę obrachunkową, to znaczy, że w spółdzielni jest bieda, a jak bieda to lepiej już gospodarzyć indywidualnie, bo przecież po to się szło do spółdzielni, żeby było lepiej. — Niską dniówkę obrachunkową powoduje przede wszystkim właśnie brak rozwiniętej zespołowej hodowli. Wszędzie tam, gdzie hodowla jest rozwinięta notujemy wysoką wartość dniówki obrachunkowej.

Wojciech Szmidt

JAN BARANOWICZ

LIST Z BUŁGARII

RUSE.

W Ruse, nad Dunajem,
wróble na elektrycznych drutach
jak nuty na pięciolinii.
Poznaję
swojski świergot o trudzie powszednim
rybaków i tragarzy, co wśród bierw i skrzyni
czekają aż się rozedni.

W niepewnym świcie
leniwe fale żółto się kołtunią.
Prom już przehuczał
i noc przeszła ponad Rumunią.
Jeszcze tkwią w pamięci
strome wille Sinawia i podmiejskie chaty
ciasnego Bucuresti.
W czaszce się kręci
świetlny szlak wież naftowych jak kręgosłup bestii.

W porcie, w wagonie
pierwsze twarze Bułgarów, wino i baklawa.
Borys Kolev — malarz i uczony —
cicho skanduje słowa: Kraków, Gdańsk, Warszawa.
Josif Gałązka,
wysmukły chłopak z Burgas chwali się pomnikiem
wieszcza. lecz najwyraźniej
wstyd mu, że się odpolszczył, choć matka ze Śląska.

Szeleszczą krople mastyki.
Szeleszczą słowa przyjaźni.

Po rumuńskiej stronie
brzeziny coraz płowiej tężeją w dnia blasku.
Nad wód rozlewem
fruną kawki w łopotach wrzasku.
Kolejarze młotami dzwonią na peronie — —

Brak jedynie dziewczyny o konopnych lokach,
by przybiegła do ramion i u warg zawisła
a myślałbym, że drzewa i ptaki w obłokach
— Mazowsze, a Dunaj — Wisła.

EDWARD POCHROŃ

Amerykańscy pisarze — Saxton i Mende

(Dwa dokumenty walki amerykańskiego proletariatu)

Współczesna literatura Stanów Zjednoczonych zalewana przez powieść sensacyjną lub — dla „smakoszów" — przez psychoanalityczne „subtelności", niezbyt obfituje w dzieła o wysokich walorach ideowych i artystycznych. Jednak wskutek stałego zaostrzania się sytuacji klasowej liczba pisarzy dostrzegających istotne konflikty społeczne współczesnej rzeczywistości USA zwiększa się z roku na rok. [1]) Dla pisarzy amerykańskich, którzy wybrali metodę realizmu charakterystyczne jest to, że idą oni dalej, wykraczając poza ramy realizmu krytycznego, dochodzą do zrozumienia zasad materializmu historycznego. Obserwacja stosunków w imperialistycznych Stanach Zjednoczonych uczy ich, że jedyną siłą mogącą obalić kapitalizm z jego „wolnością" — handlu i lynchu, jest klasa robotnicza kierowana przez swój czołowy oddział — partię komunistyczną i podlegające jej związki zawodowe.

Droga do tego stanowiska jest trudna. Pisarz nie może od razu przestawić swojego warsztatu pisarskiego na nowe tory, dlatego też w dziele jego będziemy mieli jeszcze do czynienia z błędami i potknięciami. Do takich błędów prawie, że typowych należą jeszcze pozostałości niezdrowej sensacyjności, w której niejednokrotnie pobrzmiewa jeszcze chęć „gry na nerwach" czytelnika. Do zjawisk tej kategorii należą pewne powieści Aleksandra Saxtona i Roberta Mende'go.

Wielki kryzys światowy w latach 1928 — 1934 nie ominął Stanów Zjednoczonych. Ta paradoksalna sytuacja, że podczas gdy masy ludowe głodowały topiło się w morzu tysiące ton pszenicy spowodowała wzniesienie się fali rewolucyjnej. Proletariat amerykański żyjący po pierwszej wojnie światowej we względnym dobrobycie zrozumiał w latach trzydziestych, że bez walki nie poprawi swojej sytuacji. Stąd w tym okresie notujemy potężne strajki powszechne, kierowane przez partię komunistyczną i nowopowstały, rewolucyjny początkowo, związek zawodowy C. I. O. [2])

O tych wypadkach w różnych środowiskach — proletariatu fabrycznego i niefabrycznego — mówią: „Stacja Great Midland" Saxtona[3]) i „Bruk i gwiazdy" Mende'go[4]).

*

Aleksander Saxton jest równocześnie pisarzem i robotnikiem kolejowym. Praca literacka nie wystarcza w Stanach Zjednoczonych, aby zapewnić pisarzowi względne warunki życia. W takiej właśnie sytuacji znajduje się autor „Stacji Great Midland". Stąd ta doskonała znajomość środowiska kolejarzy, o życiu których mówi jego powieść, która przyczyniła się również do tego, że Saxton nie gubi się w szeroko rozbudowanej akcji wielokierunkowej i wielowątkowej. O wielkości epickiego rozmachu Saxtona świadczy chociażby proste zarejestrowanie zasadniczych konfliktów ukazanych przez pisarza w ramach jednego zakładu pracy w okresie lat 1918 — 1942: konflikt między Towarzystwem Kolejowym a załogą stacji Great Midland; zjednoczenie „białych" i „czarnych" lóż związkowych w walce o polepszenie doli proletariatu; walka ugodowej góry związkowej z proletariackimi dołami, powstanie radykalnego początkowo, kierowanego przez Komunistyczną Partię Ameryki C. I. O.; konflikt rodzinny Dave'a Spaasa.

Bieg akcji powieści wyznacza zasadniczo konflikt: Towarzystwo Kolejowe — robotnicy stacji. Wokół niego zorganizowany jest materiał powieściowy. Pierwszą stronę reprezentuje Jarwis Pyszałek, nie członek Towarzystwa, ale jego płatny urzędnik — naczelnik stacji. Na usługach Towarzystwa pozostaje również cały aparat administracyjno-policyjny. Strajki i demonstracje rozpędza policja. Saxton, który doskonale zna środowisko robotnicze, wie, że jego struktura nie jest jednolita. W „Stacji Great Midland" spotykamy ludzi spośród klasy robotniczej, którzy występują przeciw swojej klasie, popierając poczynania posiadaczy. Np. znany na stacji „wuj" Jennison, który przed i w czasie pierwszej wojny światowej walczył o interesy klasy robotniczej, ale teraz jako przewodniczący loży związkowej obrósł w sadło i jest nieczuły na głosy mas. Strajk dla niego jest bezcelowym wybrykiem młodych. Nie chce bronić towarzysza od zwolnienia z pracy, z tego tylko powodu, że ten jest komunistą i walczy z reakcyjną górą związkową. Historia Jennisona jest typowa dla tzw. arystokracji robotniczej. Wiemy z historii amerykańskiego ruchu robotniczego, że w 20-leciu międzywojennym władze Amerykańskiej Federacji Pracy zdradziły klasę robotniczą i poszły na ugodę z burżuazją. Wierni bojowym tradycjom tej organizacji pozostali jednak zwykli członkowie. Funkcję uświadomienia jasno robotnikom tej „metamorfozy" Jennisonów, Saxton — zgodnie zresztą z prawdą historyczną — powierzył komunistom i przedstawicielom CIO.

W „Stacji Great Midland" brak jest typowego reprezentanta kapitalizmu, np. jednego z członków Towarzystwa. Chociaż większość robotników zdaje sobie sprawę z tego, że Jarwis i Morgan-detektyw są wykonawcami poleceń właścicieli kolei, to jednak mogłoby się komuś wydawać, że głównym sprawcą niedoli robotników są właśnie tacy zaprzedańcy, a nie właściciele towarzystw i monopoli. Tym bardziej mogłoby się tak zdawać, że jasna wypowiedź autora w tej sprawie pojawi się dopiero pod koniec powieści, kiedy jej główny bohater, komunista Dave Spaas mówi: „A kto jest właścicielem kolei? — Chyba jakiś sk...syński bank" — odpowiada rozmówca. „Ściśle mówiąc: Western States Bank i Trust Company z Nowego Jorku. A więc z kim walczyłeś walcząc z koleją Great Midland? Walczyłeś z Wall Street i amerykańskim kapitałem..." (str. 407). Wypowiedź niedwuznaczna. Jednak brak obrazu artystycznego typowego reprezentanta kapitalizmu obniża polityczne i głównie artystyczne walory książki.

Z zagadnieniem walki klasowej u Saxtona nierozerwalnie łączy się sprawa dyskryminacji rasowej. Stany Zjednoczone są krajem, gdzie lynch jest zjawiskiem powszednim. Oczywiście, że nie wszyscy Amerykanie biorą udział w linczach. Do nich przede wszystkim należą robotnicy amerykańscy, bo klasa robotnicza rozumie, że interesy proletariusza tego czy innego kraju, tej czy innej rasy są wszędzie jedne — walka z kapitalizmem. Internacjonalizm proletariacki każe robotnikom amerykańskim wspólnie z Murzynami strajkować, demonstrować i walczyć w szeregu jednej partii, nie uznającej dyskusji rasowej, ale walczącej z nią partii komunistycznej.

Zupełnie innego zdania o „czarnym bydle" są amerykańscy fabrykanci i ich sługusy. Przy pomocy rezerwowej armii pracy złożonej z Murzynów chcą oni utrzymać niskie płace robotnicze. Dlatego też odcinają czarnym robotnikom możliwości awansu zawodowego, używając ich do najniższych posług i najgorszych prac. Ten stan rzeczy może zmienić jedynie solidarna postawa białych i czarnych robotników — jak to właśnie dzieje się w „Stacji Great Midland".

U Saxtona uderza nas żarliwość, z jaką ten jeden z najbardziej postępowych pisarzy amerykańskich walczy z dyskryminacją rasową, demaskuje obłudę burżuazji wyzyskującej Murzynów.

Saxton rozstrzygając tak ważne dla proletariatu, a w szczególności dla proletariatu amerykańskiego, sprawy nie pomija również bardzo ważnego zagadnienia, rozwiązanie którego jest wskaźnikiem postępowości pisarza. Mam tu na myśli stosunek do Związku Radzieckiego. Akcja „Stacji Great Midland" kończy się w 1942 r. W 1941 r. Niemcy napadają na Związek Radziecki, który wtedy zmuszony został do wypowiedzenia wojny. Robotnicy amerykańscy nie rozumieją dlaczego zmienia się podówczas polityka partii komunistycznej, protestującej dotychczas przeciw wojnie imperialistycznej. Zmianę tę Dave Spaas tłumaczy dwoma powodami: 1) Zmieniła się sama wojna („Anglia, Francja, Ameryka, cały świat kapitalistyczny od dwudziestu lat próbuje zmiażdżyć Związek Radziecki. Właśnie dlatego pozwolili Hitlerowi zająć Hiszpanię, Austrię i Czechosłowację" (str. 407), 2) Związek Radziecki jest pierwszym państwem socjalistycznym, które zostało stworzone przez rewolucję robotniczą i dlatego można mieć do niego zaufanie. Tego państwa powinni bronić również i amerykańscy robotnicy. I Dave Spaas w 1941 r. zaciąga się do marynarki wojennej.

Widzieliśmy z dotychczasowych uwag, że Saxton jest pisarzem dojrzałym artystycznie i ideologicznie. Jego powieść można by nazwać kroniką ludzi i wypadków związanych ze stacją Great Midland na przestrzeni przeszło 20 lat.

Głównym jego celem jest pokazać na szeroko dobranym materiale literackim, jak na przestrzeni lat między 1918 — 1941 wzrosła w walce z Towarzystwem Kolejowym polityczna świadomość kolejarzy. Poza ramy miejscowe autor prawie nie wykracza. Jednak bohaterowie jego walcząc na swoim terenie pamiętają o milionach robotników, którzy tak samo walczą jak oni.

To zacieśnienie tematyczne i miejscowe akcji do jednej stacji kolejowej pozwala Saxtonowi na tworzenie postaci żywych i pełnych, tak że czytelnik kończąc powieść może powiedzieć: rzeczywiście żyłem z tymi ludźmi przez 20 lat.

Chęć objęcia akcją jak największej ilości osób pociągnęła za sobą jednak brak wyraźnego kośćca akcji. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem podobnym do powieści-rzeki, z tą jedynie różnicą, że autor nie idzie krok w krok za życiem bohaterów, ale posługuje się metodą skierowywania „obiektywu filmowego" na pewne momenty w życiu postaci. Tytuły rozdziałów podkreślają tę metodę: „1912", „1919", „1940", „1942".

*

Tytuł: „Bruk i gwiazdy" bardzo dobrze określa charakter powieści Mende'go obrazującej życie Ameryki w latach trzydziestych. Jej bohaterowie spędzają młodość i część życia na bruku a marzą o gwiazdach. Główny bohater powieści Gregg Haber, syn emigranta niemieckiego, filozofii życia do 15 roku uczy się na ulicy wśród kolegów rówieśników i bokserów. Z okien jego mieszkania widać tylko bruk i gwiazdy. Pan Haber, krawiec z zawodu też bardzo często w czasie t. zw. martwych sezonów znajdował się na bruku, to znaczy nie miał pracy. A marzył też o gwiazdach. Niedościgłą gwiazdą dla niego jak i dla wielu jemu podobnych był własny zakład.

Po 15 roku życia horyzont Gregga poszerzył się. Został najpierw praktykantem, a później ekspedientem w sklepie p. Bicka (kapitalny typ małego kupca amerykańskiego), którego ambicją jest, aby klient przychodzący do sklepu dostał szybko czego zażąda. A jak to zrobić Gregg dowiedział się bardzo szybko, gdy p. Bick dał mu krótkie pouczenie, że jeden numer pończoch będących na składzie, sprzedaje się jako każdy numer żądany przez klientkę. Wtedy gwiazdą Gregga było także marzenie o własnym sklepie, lub o karierze amanta filmowego w Hollywood.

Gdy Gregg miał 17 lat przewodniczący oddziału 1111 wciągnął go do CIO. Gregg zapisał się tam, bo teraz marzył już o tym jakby ulżyć doli współlokatorów swojej kamienicy. Więc najpierw chciał zabić właściciela domu, w którym mieszkał, a później kamienicę oddać do wspólnego użytku jej mieszkańcom. Ale odradzono mu na szczęście tę drogę, bo przecież właściciel kamienicy ma na pewno rodzinę, która po jego śmierci upomni się o spadek. Wtedy Gregg zaczął walczyć z właścicielami sklepów o podwyżkę płac i o uznanie CIO. Ale młody Haber nawet i wtedy jeszcze nie porzucił w zupełności swych marzeń z ulicy. Gdy się zaręczył z młodą Dynamitą, członkinią CIO — (było to po masakrze ich pochodu strajkujących przez gangsterów najętych przez właściciela wielkiego sklepu hurtowego) — tak pod koniec powieści mówi do niej: „Za małośmy przeżyli, za mało rozumiemy, żeby móc należycie ludzi oceniać, kochać i widzieć w nich poezję i piękno. Będę się starał o to wszystko. Chcę żyć, żyć jak najpełniej, chcę się wszystkiego nauczyć... Będziemy się uczyli o wszystkim: począwszy od kamieni w ulicznym bruku, aż do gwiazd na niebie" (str. 482).

To dość szczegółowe przedstawienie losu bohatera „Bruku i gwiazd", zakończone takim cytatem było potrzebne jako punkt oparcia w określeniu postawy ideowej Mende'go. Wydaje mi się, że autor zamykając dzieje losu Gregga wywodem o poezji i pięknie, sam z tym wywodem się zgadza. Poezja, o której mówił Gregg — to poezja szarych ludzi, poezja radości człowieka. Ta ostatnia wypowiedź bohatera ma szeroką podbudowę w powieści. Przy lekturze Mende'go uderza nas stała troska o wciąż oszukiwanego szarego człowieka. Komunista Joe Fesner za cel życia uznaje „zmienić świat tak, żeby ludzie sobie nawzajem ufali. Żeby nikomu nie było wolno oszukiwać innych". Jednak jak zmienić ten świat Fesner nie mówi, o rewolucji... nie wspomina, chociaż rozumie dobrze kto jest sprawcą niedoli ekspedientów. Postawę więc Mende'go można by określić jako postawę utopijnego humanizmu. To znaczy, że Mende widzi nędzę ludu, walczy z nią, ale nie podaje ostatecznego realnego rozwiązania. Bo rozwiązania proponowanego przez Gregga nie można wszak uznać za realne. Czytelnik z jednej strony ma zupełnie słuszne powody, aby wnioskować, że bohater obierze drogę walki, jakiej w czasie strajków uczył go Fesner, z drugiej strony autor pozostawia go w wątpliwości czy Gregg w czasie swej „nauki wszystkiego" natrafi na dzieła klasyków marksizmu-leninizmu.

Postawa Mende'go — to postawa głębokiego humanizmu, głębokiej troski o człowieka, postawa nie skonkretyzowana jeszcze w wyborze zdecydowanie rewolucyjnej drogi urzeczywistnienia swych humanitarnych ideałów. Niezdecydowana postawa autora „Bruku i gwiazd" wyraża się też w wyborze środowiska. Ekspedienci, krawcy, dozorcy — element nie zawsze zdecydowany, balansujący między proletariatem a drobno - mieszczaństwem, a równie jak proletariat fabryczny krzywdzony.

Widzieliśmy u Saxtona, stojącego na stanowisku rewolucyjnym, że jego bohaterowie wybierają ostatecznie drogę jedynie słuszną i realną dla wyzwolenia człowieka — rewolucję. Walka o podwyżkę płac, strajk, demonstracje odbywają się u Saxtona i Mende'go w tym samym okresie, a widzimy różnicę w stopniu dojrzałości bohaterów, która częściowo wynika z tego, że powieści rozgrywają się w różnych środowiskach, ale zasadniczo — z różnic w dojrzałości ideowej autorów.

Główna wartość powieści Mende'go leży w krytycznych partiach książki, w jej stronie demaskatorskiej, która może nawet przewyższa „Stację Great Mindland". O takiej ocenie decydują sylwetki doskonale zarysowanych typów ujemnych jak: właściciel małego sklepu na Rock Streeat — Bick, właściciel sklepu hurtowego Jones, szajka gangsterska z Lippiem Liptonem na czele. Gangsterzy współdziałają z policją w tłumieniu strajku u Jonesa. Pierwsi zaczynają bójkę ze strajkującymi ekspedientami, a kończą je drudzy. Lippie opłacony przez Jonesa, jest przywódcą szajki gangsterskiej, a... Lipton jest dyrektorem spółki: „Pracownik i Pracodawca — Spółki Zjednoczonych Mediatorów". Lippie i Lipton to ta sama osoba. W tych partiach książki schemat sensacyjnej powieści podnosi wartość utworu, bo silniej oskarżą i demaskuje, nie wykraczając poza ramy realizmu.

Krytyka nie ogranicza się jedynie do krytyki aparatu administracyjno-policyjnego Stanów Zjednoczonych. Mende odkrywa również zgniliznę kultury amerykańskiej. Ujemne oddziaływanie filmów Hollywoodu na młodzież, sensacyjna powieść i plaga niesportowego boksu — skrzywiają dusze młodzieży.

*

Aby dokładniej określić jak daleko zaszli omawiani tu pisarze na tej drodze wykraczania poza ramy realizmu krytycznego, o której wspomniałem na początku, należy rozpatrzyć jeszcze zagadnienie pozytywnego bohatera.

U Saxtona, wydaje mi się, możemy mówić o pozytywnym bohaterze, w Engelsowskim rozumieniu typowości, u Mende'go mamy poważne wątpliwości i musimy stwierdzić, że są tam dopiero „zawiązki" pozytywnego bohatera. Bohaterem pozytywnym „Stacji Great Midland" niewątpliwie będzie Dave Spaas. Jest to typowy przedstawiciel amerykańskiej klasy robotniczej. Komunista, walczący w Hiszpanii po stronie republiki, w czasie walk o podwyżkę płac staje na czele strajku, pod koniec powieści zaciąga się do marynarki wojennej, aby walczyć z faszyzmem, który popierany przez światowy kapitalizm zagraża Związkowi Radzieckiemu.

Konstrukcja losu Gregga Habera nie czyni z niego pozytywnego bohatera. Gdy są już wszelkie dane ku temu, aby Gregg stanął na czele ruchu CIO-wskiego w swoim środowisku autor nakazuje mu „uczyć się o wszystkim od kamienia w ulicznym bruku, aż do gwiazd na niebie". I niewiadomo czy Gregg nauczy się rewolucyjnej walki z kapitalizmem, czy też będzie szukał poezji i piękna w uczuciach kobiety odnajdującej dziecko na Coney Island. U Mende'go możemy jedynie mówić o optymizmie powieści. Jakkolwiek Joe Fesner ginie, czytelnik czuje, że autor wie, że znajdą się jego następcy.

Sumując ostatecznie uwagi o dwu dobrych powieściach postępowej literatury amerykańskiej musimy wyżej ocenić powieść Aleksandra Saxtona, którą możemy postawić na tym samym, a może nawet wyższym poziomie co „Clarktona" Fasta.

Mr. Truman pali dzieła Fasta, ale z ich popiołu wyrastają coraz to nowe, postępowe i rewolucyjne dzieła literatury amerykańskiej i miejmy nadzieję, że Mr. Truman z paleniem ich nie da sobie rady.

Edward Pochroń

---

[1])Tu należą: zmarły w 1946 Teodor Dreiser, Howard Fast, Albert Maltz i in.

[2]) CIO — Comitee of Industrial Organizations (Związek Przemysłowych Organizacji) początkowo bardzo radykalny, później góra związkowa przechodzi na służbę burżuazji — zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu.

[3]) **Aleksander Saxton:** „Stacja Great Mindland") tyt. oryg. „Great Midland", powieść, przekład autoryz. Ewy Fiszer, PIW 1951 str. 469.

[4]) **Robert Mende: „Bruk i gwiazdy"** (tyt. oryg. „Spit and the Stars"), powieść, przekład autoryz. Małgorzaty Szerchy, PIW 1951 str. 483.

STANISŁAW JAŚKIEWICZ

Z DZIKIEGO ZACHODU

Wychodząca w Zurychu „Weltwoche" zamieściła ostatnio wywiad szwajcarskiego dziennikarza z samym mr. Harry S. Trumanem. M. in. ze strony tegoż dziennikarza padło pod adresem prezydenta USA niedyskretne pytanie, jak w gruncie rzeczy wygląda w Stanach sprawa osławionych samosądów tzw. lynchu. Prezydent dobrotliwie uspokoił swego rozmówcę:

„Niewinność człowieka zawsze prędzej czy później wyjdzie na jaw. Istotnie — niekiedy jest już za późno, zwłaszcza gdy człowiek przedtem zostanie powieszony"... Autentyczne. Dosłowne!

No proszę! I czegóż tu robić krzyk o sprawę lynchu. Przecież sam prezydent lynchowego mocarstwa niedwuznacznie stwierdza, że „niewinność człowieka prędzej czy później wyjdzie na jaw"... Więc o co chodzi?

✤

Londyńskie wydawnictwo „Freedom Press" dokłada również wszelkich wysiłków w kierunku zbliżenia brytyjskiemu społeczeństwu stylu amerykańskiej demokracji. Ostatnio nakładem tegoż wydawnictwa ukazała się książka pt. „A Handbook on Hanging", co po polsku brzmi „Podręcznik wieszania". W konspekcie reklamowym tego „szkoleniowego podręcznika" czytamy:

„...jest to krótkie wprowadzenie w najlepszą metodę wieszania... zawiera wiele pożytecznych wskazówek dotyczących łamania kręgosłupa, dławienia, duszenia, ścinania i egzekucji elektrycznych". Po czym następuje wyjaśnienie, że „podręcznik" opracowany jest jak najściślej źródłowo — w oparciu o doświadczenia największych światowych egzekucji, przy czym opracowaniu temu nadano tak subtelną formę, że „All very proper to be read and kept in every Family" — tj. że „może być czytany w każdej rodzinie"...

Żeby nie było nieporozumień: Nie jest to żadna literatura średniowieczna. Rok wydania tegoż dzieła: 1951! Pogratulować rządowi Jego Królewskiej Mości. I pogratulować mr. Trumanowi ugruntowania się „wpływów kulturalnych" Stanów Zjednoczonych na Wyspie Brytyjskiej...

Publicyści niemieccy w związku z tą sprawą przypominają, że świat zna już tego rodzaju wydawnictwa. Podobne tematy lansował nie tak dawno osławiony hitlerowski „Der Stürmer" Streichera. Dla niektórych widać to już bardzo dawno, że nie pamiętają, czym się to skończyło...

✤

Lektura o której była mowa wyżej daje nawet konkretne rezultaty. Gazety brytyjskie doniosły niedawno, że w Nowej Zelandii, która jest jak wiadomo kolonią Imperium Brytyjskiego, o zwolnione stanowisko kata, starała się pewna brytyjska studentka medycyny. Charakterystyczna jest treść podania tejże przedstawicielki „płci pięknej i słabej":

— „Jestem studentką medycyny, mam mocne nerwy i jestem zdania, że mężczyźni chętnie dają się tracić kobietom"...

Publicyści niemieccy słusznie zauważają, że i tego rodzaju wypadki są już znane... Cytują przykład Ilsy Koch, żony hitlerowskiego komendanta Buchenwaldu...

✤

A oto interesujące sprawozdanie z Korei, zamieszczone w luksusowym magazynie amerykańskim „New Yorker":

„Narody zjednoczone taktownie zaproponowały rządowi południowo - koreańskiemu przeprowadzenie pewnych reform. Projekty te zostały przyjęte. Kiedy np. w grudniu 1950 r. południowo - koreańska armia i policja zbyt szeroko i zbyt widocznie przeprowadzała masowe, publiczne egzekucje Koreańczyków — Komisja Narodów Zjednoczonych zdołała spowodować u rządu południowo - koreańskiego pewną zmianę jego postępowania dyscyplinarnego: od tego czasu mamy, dzięki Bogu, do czynienia tylko z nielicznymi wypadkami *widocznych* egzekucji"... Podkreślenie oczywiście nasze. I starcza za komentarz...

W olbrzymiej sali Ernst-Merck-Halle w Hamburgu odbyła się w końcu września konferencja tzw. „Jedności Europejskiej", w której między innymi wziął udział mr. Duncan-Sandy, zięć obecnego premiera W. Brytanii — Churchilla.

Mr. Duncan-Sandy powiedział dosłownie przedstawicielom bońskiej orientacji:

...„Jeśli chcecie, żeby Niemcy były bronione nad Łabą, a nie nad Renem i to natychmiast oraz bez zastrzeżeń — to musicie całkowicie przejąć waszą rolę. Byłoby najzupełniej bezcelowe przyjąć, że w wypadku wojny Niemcy pozostaną nietknięte. Na skutek swego położenia geograficznego Niemcy muszą stać się polem bitwy... Jeśli się nie włączycie... to będzie to oznaczało, że staniecie się jednym z głównych celów zachodnio-alianckich bombardowań. Zaś szczególnie hamburskiej ludności nie trzeba wyjaśniać co to znaczy" (aluzja do nalotów terrorystycznych z r. 1943 — (przyp. mój — S. J.).

Tak wyglądają „pokojowe cele" twórców i uczestników Paktu Atlantyckiego. Tak wygląda sprawa „konieczności podjęcia kroków obronnych", tak wygląda „groźba agresji ze strony N. R. D.", w odniesieniu do Trizonii...

W tym samym czasie, kiedy Duncan - Sandy wygłaszał cytowane wyżej słowa w Hamburgu — w Europie krążyły noty USA i W. Brytanii, wyjaśniające „niezłomną wolę pokoju" zachodnich aliantów i „obronny charakter" Paktu Północnego Atlantyku... noty pełne wyrazów oburzenia, że „komuniści" wątpią w te zachodnioalianckie „dobre intencje"...

Oni to nazywają „genialną grą polityczną". Nam się wydaje, że może to być nazwane tylko wyuzdanym gangsterstwem i popełnianą z całą premedytacją nową zbrodnią przeciwko ludzkości...

✤

Znamiennym faktem, który stanowi wyraźną odpowiedź na powyższe skandale, są ostatnie wypadki w Essen. Wbrew najostrzejszemu terrorowi w tamtejszych Zakładach Kruppa przeprowadzone zostało głosowanie za i przeciw remilitaryzacji Niemiec. Na 12.309 robotników tych zakładów — 11 921 głosowało przeciwko remilitaryzacji i manifestowało przeciw dyrektorom koncernu, skazanym w swoim czasie przez Trybunał Norymberski, a obecnie z woli amerykańskich protektorów skierowanym na poprzednie stanowiska dla przygotowywania nowej rzezi. Jedynie 212 robotników poszło na lep propagandy i głosowało za remilitaryzacją, 52 robotników i pracowników umysłowych wstrzymało się od głosowania. Adenauerowska policja usiłowała dokonać aresztowań na terenie zakładów — spotkała się jednakże z czynnym oporem wielotysięcznej załogi. Na zewnątrz zakładów przeprowadzono dopiero aresztowanie 50 osób. Ale i tu zmuszono policję do kapitulacji. Pracownicy Kruppa utworzyli kilkunastotysięczny pochód, grożąc marszem na siedzibę prezydenta policji. Policja wycofała się, będąc bezradną wobec tak jednomyślnie wyrażonej opinii mas o tym wszystkim co pod zachodnio - aliancką batutą usiłują tworzyć marionetki z Bonn.

Oto godna odpowiedź na skandaliczne wybryki obozu wojny i zbrodni

S. Jaśkiewicz

NAUCZYCIEL Z ŁODZI

Urodziłem się dnia 23 lipca 1892 r. wieś Ostrów, pow. Przeworsk, woj. rzeszowskie, pochodzenie socjalne ojca: chłop bezrolny, matka wyrobnica, oboje pracowali na łanach pobliskiego dworu i u bogatszych sąsiadów na utrzymanie 6-rga dzieci. Ukończenie szkoły średniej — seminarium nauczycielskiego zawdzięczam ojcu, który dwukrotnie wyjeżdżał na roboty do Niemiec, a później do Stanów Zjednoczonych A. P., gdzie przebywał przez 8 lat w charakterze robotnika fabrycznego.

Umiłowany przeze mnie zawód nauczycielski wybrałem sobie sam, czuję się nauczycielem z powołania. Przez 13 lat pracowałem w charakterze tymcz. kierownika szkoły w 4-ch podkarpackich wioskach w powiecie rzeszowskim — 30 km od Rzeszowa. Za wydajną pracę w szkołach oraz aktywność w pracy społecznej na terenie tamtejszych gromad i powiatu rzeszowskiego na odcinku kulturalno-społecznym zostałem na własną prośbę skierowany na studia do Warszawy, gdzie w r. 1924/25 ukończyłem Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej z dyplomem nauczyciela szkół specjalnych.

Wyżej wymienione studia umożliwiły mi uzyskanie stanowiska nauczyciela i kierownika szkoły specjalnej dla dzieci upośledzonych umysłowo w Łodzi, w której przebywam od 1.X. 1925 roku. W chwili obecnej zatrudniony jestem w charakterze kier. szkoły specjalnej Nr 60 przy Sanatorium w Łagiewnikach dla dzieci przewlekle chorych (gruźliczych). W roku ubiegłym tamże zorganizowałem i dotąd prowadzę 19-tą szkołę podst. dla pracujących, jedyną na odległych peryferiach naszego miasta.

Wyczerpująca praca całodzienna w lesie Łagiewnickim, częsty powrót pieszy w godzinach wieczornych (około 5 km) do miasta, dotąd nie przeszkadzają mi jeszcze w wykonywaniu dodatkowych obowiązków nauczyciela-obywatela na terenie naszego miasta. W roku szkolnym 1949/50 wziąłem aktywny udział w charakterze nauczyciela i kierownika w organizowaniu i prowadzeniu kursów dla analfabetów i półanalfabetów na terenie peryferyjnym miasta i w samym mieście. W ciągu 10 miesięcy przeszkoliłem osobiście na 3-ch kursach początkowego nauczania ponad 60 osób.

Bytnar Jakub

Pamiętnik nauczycielki

(dokończenie ze str. 2)

łamywania oporu z dobrym wynikiem chcę właśnie powiedzieć.

Młody trzydziesto-paroletni pracownik jajczarni wraz ze swoim kolegą, obaj nieprzejednanie oporni, niechętni do nauki. Prezydium MRN kilkakrotnie wzywało ich do siebie, przewodniczący tłumaczy, prosi, perswaduje. Czuję, że za chwilę uniesie się, wybuchnie złością i to popsuje całą naszą dotychczasową pracę. Podchodzę do niego z serdecznym, przyjaznym uśmiechem, rozmawiamy dość długo o różnych jego sprawach domowych i rodzinnych, zapytuję o zdrowie jego żony. Trochę się ożywia, lekko uśmiecha i raczy mi odpowiedzieć, w końcu naszej rozmowy wspominam o nauce i wtedy on wybucha, i w tym jego głównym wybuchu jest jakby pęknięcie wrzodu. Poznaję jego uraz psychiczny, jego powód wstrętu do nauki. W młodych latach był ogromnie bity przez swego ojca za to, że nie chciał się uczyć, drżąca ze zdenerwowania ręka odchyla rękaw brudnej koszuli i pokazuje ledwo widoczny znak małej blizny na ręku: „Tak mnie ojciec bił, żem się nie chciał uczyć, a pani tylko grzecznie mnie prosi i myśli, że to pomoże". Patrzy na mnie i uśmiecha się z politowaniem, jego zaś uśmiech mówił: „Bat nie pomógł, a delikatna prośba ma pomóc". Odchodzi. Staję bezradna. Ręce mi opadają. Dzwonię do Rady Zakładowej, idę kilkakrotnie do jego domu. Wszystko bez skutku.

I gdy zupełnie zwątpiłam w możliwość przełamania jego oporu, gdy wyczerpałam wszystkie swe argumenty i prośby, któregoś dnia zupełnie niespodzianie przyszedł na kurs wraz ze swoim kolegą. Nie okazałam zupełnie żadnego zdziwienia, z góry jednak zaznaczył, że uczyć się nie będzie, tylko tak przyszedł sobie „popatrzeć". Zgadzam się na wszystko i cieszę się z pierwszego odniesionego zwycięstwa.

Na moje prośby zaczyna się uczyć, początkowo niechętnie, ale z biegiem czasu okazuje pewne zainteresowanie nauką. Stale czuwam nad nim i otaczam go specjalną opieką. Zdał z wynikiem dobrym, dalej jednak nie chciał się uczyć.

Inny ciekawy typ oportunisty: pracownik Centrali Węglowej, starszy mężczyzna, o ponurym, niemiłym wejrzeniu. Przez pewien czas zupełnie się nam nie kłaniał, nie wchodził do klasy, tylko siedział przez pewien czas na schodach. Na moje zapytania odpowiadał mrukliwie i niechętnie, kategorycznie zapowiada, że uczyć się nie będzie, według jego mniemania jest to zupełnie zbędne na jego starsze lata. Proszę go, perswaduję, wszystko nadaremno, pogardliwie macha ręką i odchodzi. Zaprawiona w zwalczaniu podobnych przypadków nie zrażam się tym zupełnie, prowadzę z nim długie rozmowy. Powoli oswaja się, po paru dniach wchodzi do klasy i namawiany przez nas wszystkich zaczyna się uczyć. Po paru miesiącach nauki zdał egzamin z wynikiem dostatecznym.

PIOTR CHMURA

Komunikaty i apele

Krakowiacy i górale

Nie bez przyczyny pierwszy pełniejszy głos na fali skupu zboża dopłynął do naszej redakcji od korespondenta z krakowskiego, z Podhala. Mam na myśli L i s t F. Skupień — Florka, zamieszczony w ub. numerze również na tej kolumnie.

Województwo krakowskie już w pierwszych punktacjach w połowie października wysunęło się na przodujące pozycje. Na przestrzeni ostatnich 3 tygodni nie było dnia aby gazety nie odnotowywały jednego, dwu a nieraz kilku powiatów krakowskich. Szły one lawinowo naprzód.

Z korespondentów „Krakowiaków i Górali" pierwszy za pióro chwycił góral w przede dniu pełnego zwycięstwa powiatu nowotarskiego. 100 proc. wszystkich zobowiązań wobec państwa górale już wypełnili: Nowy Sącz, Żywiec, Limanowa, Nowy Targ!

Ej, Kubińcu, Młocie, Mirku i wielu innych — a wasze listy? Nie powinno ich zabraknąć. Sypią się krzyże na piersi górali. Kiedyś nędza spędzała ich z gór na nędzę w doliny. Miraż pracy w miastach i fabrykach kończył się powiększeniem bezrobotnych rezerw proletariatu. W nowej Polsce górale powiększyli kadry osadników na wolnej i szerokiej ziemi, polepszyli swoje położenie rolnicze w górach, mrowią się w dolinach wokół nowych budowli wielkiego i średniego przemysłu. Dzieci pchają do szkół, a góral to gawędziarz i filozof, lubi myśleć i ceni myśl. Nie przypominajcie obłudnie ile to u niego obyczaju, tradycji i ciemnoty, bo dobrze wiecie, że nie mniej gwałtownego pędu do zmian na lepsze, nie mniej bodźców na rewolucyjne przeobrażenia. Górale zobaczyli swe dzieci w szkołach, zobaczyli przemysł u stóp Karpat i otworzyli serce. Właśnie o tym sercu pisał Skupień - Florek. Jak żywo bije ono miłością do klasy robotniczej, jak dumne jest, że może się wypłacić w sojuszu robotniczo-chłopskim!

Skupień - Florek pokazał nam w obrazie 50 i 51 r., jak górale biją się o produkcję, o ich hodowlaną produkcję. Akcja skupu pokazała nam jak głęboko patriotyczny jest sens i cel tych bojów, jak głęboka obywatelska duma ze zwycięstw produkcyjnych i jak prawdziwie ludowładczy gniew na niedbalstwa i szkodnictwo, obniżające inicjatywę, zapał i możliwości produkcyjne ludzi Podhala.

Nie kreślę sielankowego szkicu. Bynajmniej. Sprawą pisarzy jest ukazać pełnię obrazu. Ale ilebу nie wydobyli bogactwa szczegółów — pełnia obrazu pogłębi tylko kontur, jaki my, publicyści — działacze już widzimy.

Z jednej strony wymowa osiągniętych faktów. Przodujące górskie powiaty. Z drugiej — wróg. Nie spał, uderzył. Na cóż on liczył? Właśnie na tradycje, obyczaje, ciemnotę. Podobno jeszcze w dziesięć lat po pierwszej wojnie światowej jakiś góral podyktował list do cesarza Franciszka Józefa. Z tej beczki wróg i teraz próbował.

Poszła plotka, że 20 października wojna, że Amerykanie już wchodzą do Czechosłowacji, ino patrzeć, jak z przełęczy dukielskiej itd. Można sobie na podstawie tej plotki wyobrazić kowali, którzy ją ukuli. Można sobie wyobrazić ich podłą, bydlęcą ocenę górali. I trzeba zobaczyć przepaść, jaka dzieli Podhale od tych wyrodków. Górskie powiaty — wszystkie przodujące, to nie reprezentacja, nie delegacje, to jedność mas z partią i Polską Ludową.

W powiecie Nowy Sącz, kiedy była prowadzona natężona akcja gospodarcza i gromadzkie zebrania biskup Tarnowski urządzał wizytacje parafii. Jaką drogę wybrali górale? Taką, jak np. członkowie koła ZSL-u w Czarnym Dunajcu i Ludźmierzu, kiedy wezwali księży na parafiach do wywiązania się z przypadających im obowiązków wobec państwa. A sami na tych zebraniach zakontraktowali 57 sztuk trzody chlewnej w Dunajcu a 28 w Ludźmierzu, dając przykład bezpartyjnym. Tak tu w krakowskim, jak i gdzie indziej, partia z jednej strony, a masy chłopskie z drugiej mogły się przekonać, że sojusznik polityczny partii ZSL w swoich masach członkowskich nie jest malowanym sojusznikiem. Potrafi świecić własnym przykładem, potrafi stapiać gromady z władzą ludową, z klasą robotniczą.

„Krakowiacy i górale" — Z krakowiakami w dolinach było ciężej. Początek akcji uwidocznił różnicę między powiatami biedniejszymi a bogatszymi. Na przedzie od początku szły powiaty o przewadze małorolnych. I ta ich ofiarność i świadomość klasowa ubojowiła średniaków i pociągnęła przykładem powiaty bogate, rolniczo - centralne w krakowskim.

Jeszcze 20 października tak przedstawiała się tabela porównawcza np. skupu zboża:

Powiat Żywiec — 58,6 proc. planu
Powiat Chrzanów — 54,3 proc. planu.
Powiat Nowy Targ — 53,1 proc. planu.
Powiat Limanowa — 43,1 proc. planu.
Natomiast:
Powiat Miechów — 12,9 proc.
Powiat Dąbrowa T — 21,4 proc.
Powiat Olkusz — 25, proc.

W powiecie tarnowskim kułak występuje bezczelnie. „Ty jeszcze przyjdziesz do mnie gnój rozmiatać" — mówi do sołtysa, PZPR-owca, w gromadzie Jastrzębie. W powiecie tarnowskim odbywają się misje, księża zarządzają zsyp zboża dla kleryków. W pow. Bochnia ukazał się „list pasterski", nawołujący do modlitwy w celu odwrócenia kary Bożej (?). Probostwa: Niepołomice, Sobolew, Łapanów, Rzesiawa nie wypełniły obowiązku.

Ale przejrzyjcie komunikaty. 26 października — Żywiec i Nowy Sącz na pierwszym miejscu. 28 października — Limanowa — 73 proc. — 31 października powyżej 65 proc. Oświęcim, Brzesko i... Bochnia (69 proc.) i Tarnów (73 proc.). Jeszcze o przełom toczy się walka w olkuskim i miechowskim. Na pisarza — agitatora czeka krakowskie województwo. I w tych powiatach, gdzie droga zwycięstwa służyć może przykładem na wielu jeszcze terenach kraju — i w tych powiatach, gdzie średniak, odrywając się wolniej od kułackiej agitacji nabiera dopiero rozpędu. Wzmóc ten rozpęd i piórem również zdobywać średniaka, jak zdobywają go narady i przykłady.

Opolszczyzna

Dzisiaj w gazetach znów czytałem o nowych odznaczeniach. Prezydent odznaczył Krzyżami Zasługi 44 chłopów opolskich. Województwo opolskie... acha, o trzech powiatach, wolnych już od miarek, opowiadał mi pewien działacz zetelowski. Namysłów, Strzelce i Raciborz. Raciborz 22 października jeszcze należał do ostatnich powiatów. W gromadzie Cipszanowie (gm. Piotrkowice) sołtys członek ZSL przerwał przemówienie przedstawicielowi GRN. „My polityki mamy dosyć, nie gadajcie o polityce. Mówcie o kartoflach!" Taką informację zapisałem — opowiada mój rozmówca. — myśląc, że trzeba chyba podać sołtysa do wykluczenia ze stronnictwa. Ale kiedym znów pytał o Cipszanów okazało się, że kartofle gromada chętnie dała na skup. I bądź tu mądry. Wartoby sprawdzić do końca, czy wypowiedź sołtysa była wroga, czy tylko mętna, czy też po prostu palił się do robienia polityki za pomocą kartofli, tj. środków jemu i gromadzie dostępnych. Bo też i władza ludowa uczyła chłopów opolskich polityki czynami i faktami. Są tam autochtoni, ludzie z centralnych województw i zza Buga. Na początku osadnicy zerkali zazdrośnie to na Śląsk Dolny, to na Wrocławskie. Tam rozwinięty przemysł, tam gęsta sieć kolei.

Na wsiach brak koni, niezaradność gospodarcza dawnych biedniaków i zabużan, pstrokacizna ludzi — sprawiły, że przez pierwsze 2 lata uprawiano prawie te same rośliny, ziemia jałowiała, plony nie wzrastały. Dwa lata huczało na wsiach od starć, zadrażnień i wzajemnej nieufności, ale się ze starych pni (krakowskie, lubelskie, rzeszowskie, śląskie, warszawskie i z za Bugu) wyroiły wreszcie nowe, zespolone gromady. Podnieśli ludzie głowy po wsiach i słuchać poczęli i patrzeć, co się dzieje na innych, co w gminach, co w powiecie i województwie. Państwo wspomagało w siewach, nawozach, kredytach i coraz mocniej w maszynach.

W r. 1950 prace wiosenne na opolszczyźnie przeprowadzono maszynowo w 85 proc., a ilość nawozów sztucznych dwukrotnie przewyższyła wskaźnik z r. 1948. Dziś gęsta sieć POM-ów i SOM-ów rozporządza tysiącem snopowiązałek, kosiarek i traktorów. Opolskie stanęło mocno na kontraktacjach przemysłowych roślin i hodowli. Plan 6-letni otworzył tej krainie nową perspektywę. Nowe linie kolejowe, fabryki włókiennicze, roszarnie lnu i wiele innych ośrodków przemysłowych.

Opisywał we „Wsi" nasz korespondent Góralik-Bożanowski uczucia chłopów opolskich, kiedy szeroko rozniosły się wieści o tem, co przyniesie ich województwu Plan 6-letni. Radość i zadowolenie osadników z uprzemysłowienia opolszczyzny wyrażają nową „gospodarność chłopską". Zaczęli wszak gospodarzyć na nowej ziemi, w nowych gromadach, w warunkach na początku pionierskich. Ale zaczęli to nowe życie w Polsce wyzwolonej, na drożdżach zwycięskiej rewolucji. I dlatego osadzając się coraz mocniej na ziemi opolskiej i coraz głębiej stając się jej krajanami po nowemu też ją w marzeniach i rozumowaniach zagospodarowywali: rolnictwem i przemysłem; chłopami i robotnikami. Wyobraźnią socjalistycznego narodu.

Wróćmy do działacza — mojego rozmówcy. Jak nie odznaczać chłopów — prawił — kiedy popatrzcie kolego na wyciąg z jednego koła ZSL-u na gromadzie Pępice (gm. Przylesie pow. Brzeg) jedenaście członków, wszyscy skup zboża i kartofli wypełnili kilkakrotnie ponad plan. A wczytajcie się w przodujące pozycje np. w skupie zboża:

Międzybrodzki (przew. GRN) plan — 1071 kg, sprzedał — 4480 kg; Romanice, plan 145 kg dał 1014 kg Janczyk, plan 557 kg dał 1756 kg. Kochański, plan 857 kg dał 2153 kg. Łagodziński, plan 646 kg dał 2256 kg.

W opolskim jest Góralik-Bożanowski, jest Worcell. W opolskim chłopi dostali Krzyże Zasługi, a nasza redakcja od miejscowych korespondentów jeszcze nie otrzymała listów. A tego od was ma prawo żądać opolszczyzna. Od innych pisarzy inne ziemie, od wszystkich cały kraj.

Piotr Chmura

Gazetka gminna

Jacy tacy...

Ma chłop pieniądze czy nie ma? Mogą być świnie na kontraktację, czy nie? Generalnie Wam nie odpowiem, ale za pomocą dwóch przykładów.

Jest powiat Płoński. Gdzie? W województwie warszawskim. W ciągu trzech miesięcy (sierpień, wrzesień, październik) GS-y tego powiatu zakupiły od chłopów płodów rolnych za 13 milionów zł. A sprzedały towarów przemysłowych za 12 mil. (w remanencie zostało jeszcze na 4,5 miliona). Cóż to znaczy? Że całą sumę pieniędzy, uzyskanych ze skupu chłopi wydali na swoje osobiste i domowe potrzeby. To jeszcze nie koniec. Okazuje się, że w GS-ach chłopi wydali dopiero jedną trzecią pieniędzy. Pełna ich konsumcja była w tym okresie o dwie trzecie większa i sięgała do Płońska i Warszawy. Co tu dużo gadać, samej wódki wypili chłopi za większą sumę od tej, jaka przypada na podatek gruntowy dla całego powiatu płońskiego.

W woj. opolskim prezesem gm. ZSCh jest Gertruda Cichas. Wcale nie cicha. Głośno zastrzegła sobie w GRN-ie prawo nie wydawania zezwoleń na ubój bez jej zgody. Dlaczego? Bo zna baba na wylot stan hodowli i zapotrzebowania na mięso w swojej gminie. Zaprowadziła ewidencję zezwoleń i co powiecie, tak ograniczyła ubój na spekulację, że gmina ta jako pierwsza i jedyna dotąd wykonała pełny plan kontraktacji na I kwartał roku 1952 (w 120 proc.).

Od takich przykładów powinien zmądrzeć każdy działacz.

Grzegorz Maluta

„Żywot człowieka poczciwego"

Ja z takim pomysłem. Kiedy mamy podnosić produkcję rolną przez zwiększenie jej wydajności wartoby w naszej Gazetce pokazać cykl, ilustrujący zagospodarowanie parcel chłopskich różnej wielkości. Przekonalibyśmy się wówczas, co z ziemi (gospodarstwa) można wyciągnąć a czego się często nie osiąga. Myślę, że dyskusja w tej kwestii byłaby płodna i celowa.

Na początek sam dam przykład. Gospodarstwo 12 ha w pow. Wałbrzych. Właścicielem jego jest Fr. Korga wiceprzewodniczący PKW. ZSL.

Jak wygląda jego gospodarstwo?

Z 2 ha — pszenicy ozimej	71,5 q
Z 1 ha — pszenicy jarej	26 q
Z 1 ha — żyta	28 q
Z 1 ha — jęczmienia	27 q
Z 1 ha — ziemniaków (220 q w ub. r.)	110 q
Z 1,5 ha — buraków cukr.	450 q
Z 0,5 ha — lnu (słomy lnianej)	10,3 q
Z 15 ar. — rzepaku	2,7 q
po zżęciu rzepaku wysiał	8 q

Z 25 ar. lucerny — 4 pokosy.

Z 60 ar. koniczyny — 2 pokosy po 4 wozy (12 q jeden), 3 krowy (2500 litr. od każdej), 2 jałówki, 2 maciory (7 i 9 prosiąt). 7 sztuk zakontraktował na r. 1952. Na skup sprzedał 73 q zboża i 54 q ziemniaków. Liście buraczane zakopcowane i wysłodki z cukrowni wystarczą do wyżywienia inwentarza do czasu wiosennych traw.

Jan Pałata

Wybory do władz ZSCh

Ot, popatrzcie. W gm. Bąków (pow. Łowicz) chłopi w trosce o wiosenne siewy domagali się, aby zahamować w młynach przemiał zbóż jarych. Skąd ta fala mielenia i to nawet jarych? Z plotek straszących przepowiednią o trzyletniej posusze. A cel takiej roboty? Posianie dezorganizacji i zamętu. Bo właśnie gospodarski rozsądek i zabiegliwość kazałyby tym troskliwiej zabezpieczać jare na wiosnę. Słusznie więc chłopi wystąpili przeciw bezmyślnej gorliwości panów młynarzy i kierowników społecznych młynów. Człowieka też by zmielli, gdyby się taki znalazł. Wspominam o tej sprawie dlatego, że wskazuje ona, jak bardzo wszyscy chłopi i aktywiści są pochłonięci akcją skupu zboża, kartofli, kontraktacji i spłat podatkowych. Wszystko cokolwiek do tej akcji należy co ją hamuje, co jej pomaga dostaje się w wielki młyn wzmożonej aktywizacji mas i działaczy, ale co znajduje się poza nią...?

Oto w tej samej gminie Bąków na zebraniu w sprawie kampanii wyborczej do władz ZSCh sekretarz gminny ZSCh nie bardzo wiedział o czym mówić, podobnie delegat z Łowicza. sekretarz powiatowy. Chłopi rozeszli się z niczym.

Moi drodzy! Trzeba z tego przykładu wziąć dwie nauki. Pierwsza aby wybory do ZSCh nie stały się dla wrogich elementów nowym młynem dla przemiału ich wpływów. Druga — nie można i nie należy oddzielać w naszej jesiennej akcji wypełnienia naszych obowiązków wobec państwa od naszej twórczej rządności gospodarczej, jaką państwo otwiera coraz szerzej przed nami w spółdzielczości.

Proponuję hasło: przodujący w skupie niech nam przodują w życiu naszej „społeczności spółdzielczej".

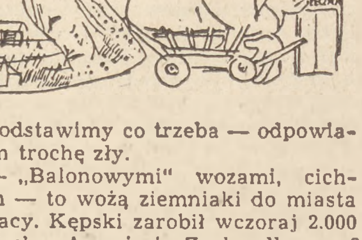
Józef Warecki

Anatomiczna budowa kułaka

Oj, chytry ten kułak Kępski! Ten ci dopiero naraził naszą Leśmierską gminę na tęgie żarty ze strony robotników. Idę ja do cukrowni w sprawie wspólnej akademii z robotnikami ku czci Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zaczepia mnie dwóch przodowników pracy i dawaj sobie podkpiwać: —

— Słuchajcie Zuska, wasza gmina do końca sześciolatki nawet miesięcznego planu dostaw zboża i ziemniaków nie wykona.

— Myślta żeby cukier był, już my se rade damy, „balonowymi" wozami odstawimy co trzeba — odpowiadam trochę zły.



— „Balonowymi" wozami, cichcem — to wożą ziemniaki do miasta kułacy. Kępski zarobił wczoraj 2.000 złotych. A wiecie Zuska dlaczego? bo on ma specjalną budowę anatomiczną.

— Kpicie, czy co?

— Zuska, legitymacja korespondenta to nie wszystko. Trzeba mieć jeszcze rozum i czujność korespondenta prasy ludowej. Kępski ma we wsi tylko nogi i brzuch, czyli — bogate pola i „balonowy" wóz na gumowych kołach. Plecy natomiast w waszej Gminnej Radzie Narodowej, czyli, że może się bezkarnie wykpiwać od obowiązków wobec państwa i stosować — jak wczoraj — wyzysk wobec ludzi pracy z miasta.

— A gdzie ma łeb?

Łeb ma w Łęczycy. Tam jest jego syn w jakimś ważnym urzędzie. Ta głowa zawsze go broni kiedy zawodzą plecy i stąd u Kępskiego brzuch syty i grube nogi, kapujesz?

— Jakże takiej anatomii nie kapować. Trzeba było tylko sprawdzić, czy przodownicy dali dokładny opis rozmieszczenia poszczególnych części ciała Kępskiego. Sprawdziłem nie kłamali. I teraz bawimy się w chirurgów społecznych. Odcinamy głowę od pleców, a te od nóg i brzucha. Nie obejdzie się bez krzyku, ale dopiero po tej operacji nasza gmina będzie zdrowa.

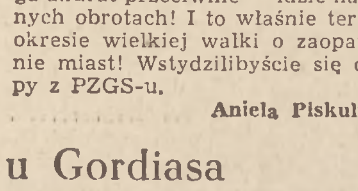
Jan Zuska

Organizacja i incjatywa

Ja, proszę Redakcji chciałbym dziś napisać o organizacji i inicjatywie. A to dlatego, że mi się organizacja pracy na stacji w Łęczycy zupełnie nie podoba. O inicjatywie będzie później. Na tej stacji nasze PZGS skupują od chłopów kartofle. Aż zgroza bierze patrzeć jak to się odbywa. Ludzi i wozów tłok, każdy chce szybko sprzedać, ale od chcenia do sprzedania w naszych PZGS bardzo daleko. Ludzi do odbierania ziemniaków tylko dwóch. Kartofle zrzuca się na ziemię, nie podesłaną nawet, konie je gniotą, ludzie kaleczą butami. I taki produkt ma pójść do miast. Kupi robotnik i powie, że Piskulina ujmuje się w prasie za światem pracy, a jest chytra baba, sprzedaje nadpsute kartofle.

Poleciałam do PRN, żeby ludzi do odbierania kartofli najęli, bo inaczej spora część naszej chłopskiej pracy zmarnuje się. Powiadają, że nie ma na rynku siły roboczej. Co za rynek pracy i jak to nie ma ludzi? Taki Pakulski — kułak to sobie 5-cioro ludzi z opoczyńskiego sprowadził do swoich 8 ha warzyw i wielkiego kartofliska. I ludzie na wyzysk to byli, a dla dostaw do miast to ich nie ma.

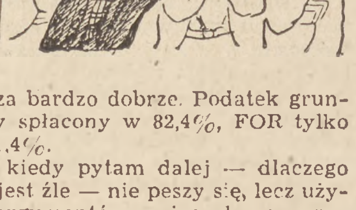
Co ja kobieta mam o tym sądzić? Nasze władze w Łęczycy nie chcą konkurować z „inicjatywą" kułaków. Ale to jasne — jak nasza ludowa inicjatywa szwankuje, to u wroga akurat przeciwnie — idzie na pełnych obrotach! I to właśnie teraz w okresie wielkiej walki o zaopatrzenie miast! Wstydzilibyście się chłopy z PZGS-u.



Aniela Piskulina

Rozgardiasz u Gordiasa

Jak wygląda sprawa świadczeń pieniężnych na terenie gminy? — to pytanie nie zaskoczyło wcale pana Franciszka Gordiasa, referenta podatkowego w Rożnowie (pow. Nowogard). Stary, biurokratyczny mól dał nurka w papiery, szperał w nich z godzinę, wreszcie oświadczył: Ano nie za bardzo dobrze. Podatek gruntowy spłacony w 82,4%, FOR tylko w 31,4%.



A kiedy pytam dalej — dlaczego tak jest źle — nie peszy się, lecz używa argumentów mających mu zapewnić święty spokój. — Dużo w terenie biedoty, nie mają czym płacić. My nie aparat ucisku biedoty.

A którzy chłopi zalegają? — pytam. Gdyby wzrok zabijał, jużbyś nie miała Gazetko Gminna korespondenta, tak piorunująco spojrzał na mnie pan Gordias. Wreszcie wykrztusił: — Taki Słomiński Adam z z gromady Parlino. — Biedniak? — Jasne obywatelu korespondecie, i nie wiedzie mu się.

I cóż powiecie o Gordiasie czytelnicy, kiedy po sprawdzeniu jego informacji (co powinien uczynić każdy korespondent) zanotowałem, że ów „biedniak" ma 14 ha, dom murowany, wielki jak stodoła, stodołę wielką jak plebania, dwa konie, kilka krów i i świniaków. Maszyn — jak twierdzi Słomiński mało, ale dwie kosiarki (do zboża i traw) siewnik i kopaczkę ma. Brak mu ponoć pieniędzy, ale jak ustaliłem sprzedał ostatnio 6 świń, 50 q ziemniaków, 45 q zboża i 80 q buraków.

Tak samo „nie wiedzie się" bogaczowi Kuciarowi, Gędzielewskiemu z Radzanka i Grabowskiemu Józefowi.

A jak sobie sporządziłem zestawienie, którego pan Gordias nie ma — tylko się za głowę złapać. Wychodzi na to, że z 47-miu opornych w świadczeniach chłopów, 45-ciu to „biedota" w uznaniu referenta podatkowego, a bogacze z klasowego punktu widzenia. U Gardiasa rozgardiasz na całego, proszę obywateli! Takich jak on nazywamy zwykle zausznikami kułaków. A zausznika — jak już sama nazwa wskazuje — trzeba wziąć za uszy i usunąć z aparatu władzy ludowej. Inaczej trudno będzie z przeprowadzeniem klasowych założeń polityki naszego państwa wobec opornego kułaka.

Jerzy Smutny

Bohater z Rybnicy Leśnej

Bohaterem naszej gromady — Rybnica Leśna, gm. Kuźnice Wielkie, powiatu wałbrzyskiego jest Jan Kowalski, który przed niewielu dniami otrzymał srebny Krzyż Zasługi za ofiarny patriotyzm i sumienne wykonywanie obowiązków wobec naszego państwa.

Kiedy po wojnie przyszedł do naszej wsi — trochęśmy się z takiego gospodarza podśmiewali. Miał 23 lata i cały majątek — jak to się mówi — w kufereczku. Dostał od państwa 8 ha odłogów i jednego jedynego woła jako siłę pociągową. Poczciwe i pracowite zwierzę nazwaliśmy „Janowym Jasiem".

Kowalski i „Janowy Jaś" pracowali niestrudzenie przez kilka lat. W okresach wielkiego natężenia prac wracali z pola o dobrej już ciemnicy. No, a dziś wielu chłopów, którzy dostali gospodarstwa poniemieckie, nadziwić się nie może, jak Kowalski doszedł do 5 ha starannie uprawianej ziemi, półka warzywnego, sadu, 4 krów, pary pięknych koni, kilku świń, a „Janowego Jasia" odesłał na emeryturę.

Pracowitość przywróciła najmłodszemu we wsi uznanie, budziła szacunek. Ale dopiero w ostatnich miesiącach porwał Kowalski za sobą większość chłopów. Pierwszy przy narodowej pożyczce, pierwszy przy spłacie FOR-u i podatku gruntowego. Zboże i ziemniaki odsprzedał ponad plan. Wszędzie pierwszy. Raz tylko spodziewali się go zwyciężyć plantatorzy lnu. Niektórzy z nich oddawali o 20 procent więcej lnu niż zakontraktowali. A Kowalski? Ten dał o 30% więcej a uzyskał najpiękniejszy jest w całej okolicy, zaliczony do najwyższej klasy.

A kiedy zapytać naszego bohatera, czy w szlachetnym współzawodnictwie, w wykonywaniu obowiązków wobec ludowego państwa ma groźnych konkurentów — odpowiada poważnie: tak, są nimi stale jeszcze przez nas niedoścignięci robotnicy.

Jan Biegała

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12. tel. 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł: rocznie 36,— zł
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B- 49442



Rys. St. Gierowski

GRZEGORZ BARTOSIEWICZ

Rozrachunek gospodarki

Na pola padły pierwsze deszcze. Sucha była ziemia pod orką. w suszy wschodziła ozimina. Tu i ówdzie próbują chłopi przeorać i zasiać na nowo. Tu i ówdzie czekali dotąd z siewami.

Po wsiach wrze od zebrań i rozmów. Obracają się one wokół skupu zboża i kartofli, kontraktacji i spłat należności finansowych. Huczą młocarnie, dzieci odrabiają lekcje.

Na drogach, które wiodą do gminy, widać każdego dnia wozy, obładowane zbożem i kartoflami. Między gminą a gromadami przetacza się dzienny plan. Co wieczór sprawdza się go we wsi i sprawdza w GRN-ie. Co wieczór grupę aktywistów powiększa ktoś nowy. Jego legitymacja? Swieci przykładem. Wypełnił wszystkie obowiązki. Niektóre z nadmiarem. W warunkach? Takich samych, a może i gorszych od sąsiadów, do których teraz wstępuje. Wiedzą czym to pachnie. Będzie męczył. Jego nie zablagujesz. Posła, jak zjedzie z Warszawy, to co innego, jego się da. Byle nie dopuścić do głosu, byle natrzeć na niego. Poseł lubi posłuchać, ma obowiązek. Więc powiesz: o, panie pośle, popatrzcie na naszego sołtysa. Plantację ziemniaków założył w tym roku i wszystko mu przepadło. Sołtys kiwnie głową, mile połechtany — współczują — i milczy, kiedy ty łżesz.

— A u mnie, na ten przykład, z 2 ha wszystkiego zebrałem 12 metrów żyta.

— A u mnie z pół ha lnu nie całe 5 metrów.

— A pastewnych to będzie 15 proc. tego, co w zeszłym roku.

Delegatów z powiatu, nawet z Rady Gminnej też można skołować. Nie wiedzą, jaki był plon. nie wiedzą jak gra w produkcji całego gospodarstwa częściowa strata.

Ale w tym roku nawet z posłem się nie udało, mimo, że się rozczulił i pytał — podania składaliście?

— O, panie pośle, na ten przykład Kurzołęka. Nie siał w tym roku żyta i pszenicy, więc złożył podanie a nie uznali. Sołtys jeszcze milczy.

A Kurzołęka już przy głosie.

— To jeden mój ból, panie pośle, drugi zaś z powodu nadania. Ja mam w akcie 8 ha a podatek policzono od 10 ha. Jaka to sprawiedliwość?

Ale teraz sołtys już nie milczy.

— Czemuż ty, Kurzołęka, nie powiesz panu posłowi, że to ja w Radzie Gminnej wypowiedziałem się przeciw twojemu podaniu i byłem za podatkiem dla ciebie od 10 ha? No, czemu nie mówisz? Ja widzę kto tu się pierwszy odzywa. Chcieliście mnie w sitwę wciągnąć? Jednym frontem wobec obywatela posła ustawić, mimo, że dzielą nas stare porachunki? No, niechże powiedzą inni, uczciwe średniaki i małorolni, jak to jest z Kurzołęką?

Już poseł dowiedział się, że Kurzołęka to kułacki frant. Ma pięć krów i przychówek. Pszenicy i żyta nie siał, bo sobie wykombinował, sądząc po ubiegłym roku, że jak nie będzie miał zbioru to mu nic nie wezmą „po cenie". Natomiast po cichu worał się w ugory i wszedł w łąkę poza swoim gospodarstwem. Sołtys na takich amatorów ściągnął komisję i podatek obliczono od rzeczywistej powierzchni użytkowania.

Nie wyszło już z posłem. A potem nie wyszło z powiatem.

W tych samych prawie dniach, ostatnich dniach września, kiedy poseł bawił na wsi, przewodniczący Powiatowej Rady wojewódzkiej na naradzie tak mówił.

— Co stanowi pierwszy, podstawowy warunek akcji skupu? Mamy na powiat w planie sprzedać 3 tysiące ton. Dużo to czy mało? Bo jeśli wziąć pod uwagę gorszy urodzaj jarych oraz kartofli? Ale w tym sęk, jak to zmierzyć? A ludzie jak dosiądą tego konia to i zagalopować się mogą. Plotka plotkę będzie wzmagać, jedni drugich na odległość straszyć. Jedni na konto drugich próbować odwlec sprzedaż i nie wywiązać się z pełnego wymiaru. Powiem krótko — my wiemy, ile zebrali chłopi ziarna. 25 tysięcy ton Nasz plan stanowi zatem 12 proc. zbioru. Jest w sam raz Damy radę. Będziemy chłopom mówić, ile mają, a ile sprzedają państwu. Trzeba żeby chłop jasno widział te proporcje w skali powiatu, gminy i wsi. Wtedy akcja stanie się „rozrachunkiem gospodarskim". Rzetelnym i do rzetelności zobowiązującym.

Grzegorz Bartosiewicz